

BIBLIOTEKA
GŁÓWNA

W
SP

KRAKÓW

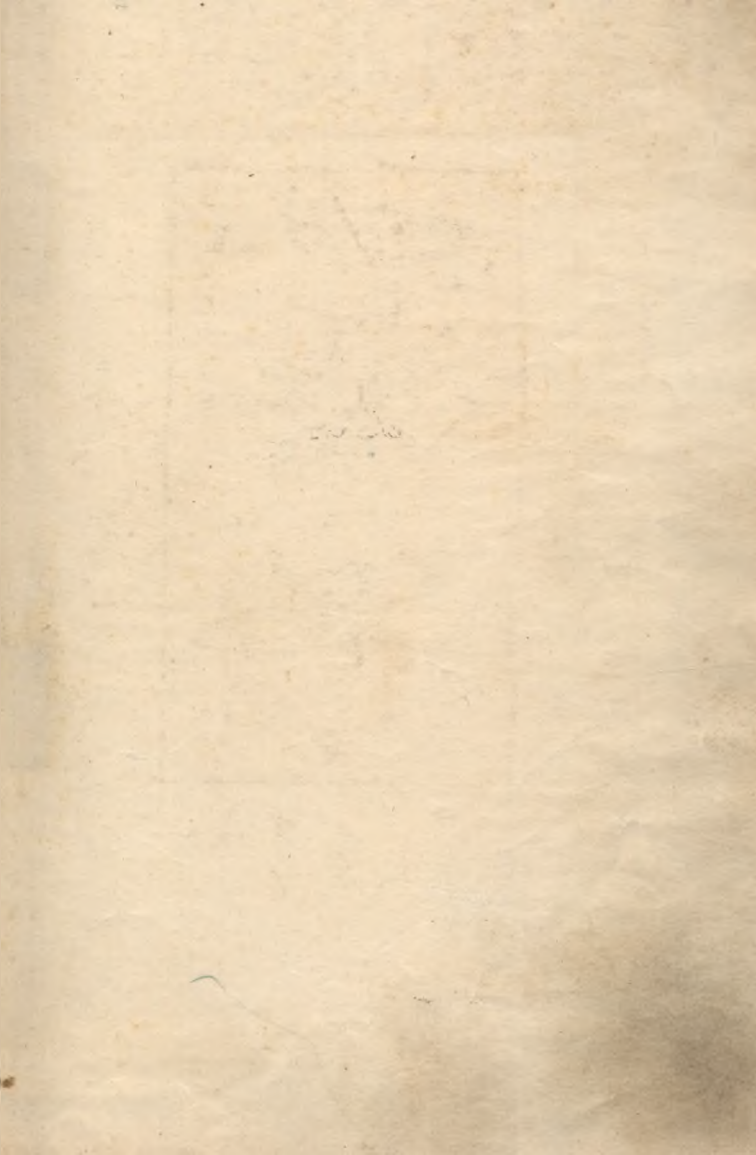
132078



~~3101~~
C101

M
NO

89472
50





K R W A W E D R O G I

THE LAWYER'S OFFICE

ZYGMUNT KISIELEWSKI

KRWAWE DROGI



5, 127

31396.238

2758

K R A K Ó W 1 9 1 6

NAKŁADEM CENTR. BIURA WYDAWNICTW
N. K. N.

UP - Kraków BG



1050174759



3101

758/I



132048

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ
W KRAKOWIE. W STYCZNIU 1916 ROKU

BIBL. WSP
1973-D 53-12

P O R Z Ä D E K R Z E C Z Y

Orzeł biały	1
Wymarsz strzelców z Krakowa	4
Józef Piłsudski	7
Przez mgły	16
Umarli, którzy żyją i żywi którzy umierają	26
Jędrak	31
Pomsty	38
W pochodzie	44
Chwila dziejowa	51
Chochół	53
Gospodarzu polski!	55
Rozłąka	58
Bitwa	65
W piwnicy	70
Na wzgórzu śmierci	77
Zwierzęta	81
Jeniec	84
Idź do piekła	93
W Lubelskiem	98
Myśli i aforyzmy	100
Dwie pieśni	110
Stanica kresowa	115
Kryterium polskie	120
Golgota Legionów	124

O R Z E Ł B I A Ł Y

W piwnicach starożytnych przyległ ptak, co kiedyś wspaniałymi kręgi krążył nad Polską.

Żyje, ale tknięty letargiem, karmu pozbawiony. Ta bowiem jest przyczyna snu jego, iż zapomniany, z dawien dawna nie otrzymał ofiary należnej z krwi własnych dzieci.

lecz orzeł biały próżno dziób swój żałośnie otwierał i szczękał szczękami spragniony.

Sił mu nie stało, usnął, zapadł w sen twardy, wiekowy.

Minęły lata, dziesiątki lat, pół wieku...

Zapomniały dzieci o swym rodzicu i słuch o nim zatracił się w sercach polskich.

Spięwali „Jeszcze Polska nie zginęła“, ale śpięwali ustami, nie czynem. Serca ich stały się w niewoli puste i smutne, jak grób.}

Na grobie tym nieraz płakali krwawo najłepszi w narodzie.

Ale jest w Polsce tradycya, w głębokościach serc utajona, iż co pokolenie danina z krwi polskiej musi być złożona orłowi, by nie umarł. Albowiem wiedzą o tem serca głębokie i myśli dalekie, iż w otchłani czasów niema się stać,

izby orzeł polski zginął, ale ze ocknie się i krwią napojony wstrząśnie skrzydłami i wzleci. Z rodziny królewskiej rodem, z prastarej rodziny, orzeł biały, a rodzina ta żyć będzie, póki oblicze czasów nie przetworzy się do cna.

A już godzina straszliwa zbliżała się, iż biały orzeł krwią czerwoną miał być napojony i biada jemu i całej krainie biada, gdyby ofiary nie otrzymał.

Przeraziły się serca wiedzące i myśli widzące daleko.

Powstał najpierw jeden i głosem mocnym na całą Polskę zawołał: „Młodzieńcze, który masz krew nieskażoną i świeżą, pójdź, otwórz serce swoje i daj pić orłowi który łaknie“.

Był to poeta.

Ale nie zrozumiano go. Tedy podniósł się inny i głosem ogromnym zawołał.

A był to mąż czynu tajemnego w Polsce.

Ale go wyśmiano.

Lecz mąż wytrwały zlekceważył śmiech urągliwy i raz jeszcze wezwał, a potem znowu, i nie przestawał wołać... Nie słuchały go już serca zwietrzałe i myśli bezkrwiste, ale pośród młodych głos męża owego jął budzić uwagę. Zdało się temu i owemu, iż słyszy szept echa z nieznaney mu dali, zew uparty i fatalny.

Tedy młodzieniec niejeden ze wsi i z fabryki i z pracowni i uczonego jął się wsłuchiwać w głos męża owego, który był jako głos serca, co woła, domaga się, żąda.

I strwożeni stanęli kołem przy mężu, pytając.

Wówczas wyjawiał im tajemnicę:

Orzeł krwi żąda z serca nieskażonego, dobrowolnej ofiary z krwi młodej. Kto słyszy w sobie zew głuchy, jakowąś tęsknotę wielką, niechaj staje w szeregu. Albowiem orzeł pragnie i biada jemu, biada narodowi, gdyby pragnienie orła ugaszone nie zostało.

Wicher zapału potwierdził przeczucia młodych i setkami jęli się kupić przy mężu owym, a setki urosły w tysiące, w dziesiątki tysięcy.

Ocknął się, zerwał: wzleciał nad Ojczyznę polską orzeł biały, a radosnego lotu jego metę—któż ośmieliłby się wyznaczać?

WYMARSZ STRZELCÓW Z K R A K O W A

Działo się to 6 sierpnia 1914 roku.

Na krakowskim błoniu dziwna jakaś odbywała się sprawa. Stały naprzeciwko siebie dwa tłumy ludzi, uszeregowanych po wojskowemu, a w środku między nimi widać było pięćdziesięcioletniego męża. Czytał on, głosem donośnym wywołując imiona i nazwiska. Po każdym nazwisku odrywał się z jednej albo z drugiej gromady wywołany żołnierz i stawał opodal w szeregu wybranych. Trwało to jakieś pół godziny. Poczem czytający odłożył papier, zdjął małą, płaską czapkę z głowy i gromkim głosem zawołał w ciszy, w stronę oddziału, składającego się z wybranych:

— Jutro o godzinie czwartej rano wyruszyście w kierunku granicy rosyjskiej. Żołnierze pierwszej kompanii! Polska powierza wam pierwszą chwałę i zaszczyt walczenia z wrogiem. Macie się bić, umierać i zwyciężać dla Ojczyzny! Hasło wasze: Śmierć Rosyi!

Na te słowa zakołysało się mrowie Strzelców. Najpierw słychać było tylko jakby powszechny szloch radości, że już, że nareszcie pójda... Szepty, słowa i westchnienia zaszumiały w szeregach. Zakotłowało się w oddzia-

łach i naraz wydarł się z pośród tysięcznej gromady ogromny krzyk:

— Śmierć Rosyi!

Zaledwo przebrzmiał, gdy z szeregów oddziału, stojącego po lewej stronie komendanta, wypadł siwiejący już, małego wzrostu żołnierz, podbiegł do wodza i błagającym głosem zaczął prosić:

— Komendancie! Puśćcie mnie! Ja chcę z nimi pierwszy... na Moskale!... Komendancie!....

Ale prośba żołnierza zaginęła, bowiem za przykładem jednego opadli Komendanta inni, dopraszając się o tę samą łaskę. Jedni prosili, inni chwyтали go za ręce, inni stali w milczeniu, mówiąc tylko spojrzeniem. Byli i tacy, którzy padali w rozrzewnieniu na kolana, domagając się zaszczytu należenia do „pierwszej kadrowej“. Niepodobna było już dosłyszeć oddzielnych wyrazów, bo wszystkie zmieszaly się w jeden proszalny głos: Komendancie!

— Baczność! Formuj się!...

Na ten rozkaz rozpierzchli się żołnierze, jak stado wróbli na widok jastrzębia. Wnet stanęły kompanie w szyku.

Komendant nałożył czapkę, sprezentował broń i huknął:

— Pierwsza kompania wyruszy jutro o godzinie czwartej rano. Kompania druga wyruszy jutro w południe. Kompania trzecia i czwarta wieczorem....

I tak, wyznaczwszy termin wszystkim od-

działom, umilkł na sekundę — poczem krzyknął:

— Obywatele żołnierze! Polska
niech żyje!

Polska niech żyje! — odgrzmiało
mu z tysiąca piersi żołnierskich.

Tak wychodziły z Krakowa na wojnę z Moskalem pierwsze kompanie Strzelców.

Tak wysyłał ich na bój Komendant ich Józef Piłsudski.

JÓZEF PIŁSUDSKI

Józef Piłsudski jest sam z siebie. Jeślibyśmy chcieli szukać źródła, z którego czerpała dusza bohatera, nie byłby nim człowiek, ani książka, ani teoria. Gdy zapytano Cromvella, z jakiej pochodzi rodziny, odrzekł: sam siebie narodziłem. Nie znamy z życia naszego wodza wyrażenia, któreby nam rozświetliło tajemnicę jego duszy, albo, że nikt słowa takiego nie pochwycił, albo, że ten samotny człowiek mówił je sobie, gdy go nikt nie mógł usłyszeć, gdy podszepty ducha ważył na Syberyi, w celi więziennej, albo w tym najstraszniejszym kryminale, w jakim społeczeństwo zamyka zawsze jednostkę samodzielną — indywidualność.

Rodzicem Piłsudskiego były głosy mogli powstańczych, domagające się nie skargi, lecz pomsty i czynu. Kto płomień tradycyjnej wojny Polski z Moskwą podał Piłsudskiemu? Może matka, którą tkliwie wspomina po dziś dzień. Być może. Bo gdy jako młodzieniec opuścił dom a świeża wola i rozgorzała myśl z tęsknotą szukały żywego oparcia, ten żołnierz polski w przyszłości, w Polsce całej nie znalazł nikogo. Wszystko jedno, czy szukał tego oparcia świadomie, czy też jaźń, drę-

czona czczością, poszukiwała go nerwowo, pukając do serc lepszych, popychając do działania wszędzie, gdzie własna, osobista, rodzona myśl mogła znaleźć swój wyraz, czyli formę. Nie znajdował jej nigdzie. Wszystko to, co działo się wówczas w Polsce, między rokiem 1880—90, po upadku pierwszego Proletaryatu, a przed powstaniem P. P. S., wszystko to nie odpowiadało tęsknicy żrącej Piłsudskiego.

Więc, aczkolwiek z ludźmi, był jednak sam. Los, który najcięższymi próbami nęka swoich wybranych, czyniąc ich narzędziami niezbadanych zamiarów, nie poskąpił Piłsudskiemu długich, ludzką miarą nie dających się wymierzyć okresów przebywania na pustyni. Pustynia, czyli samotność ducha, była ojczyzną Piłsudskiego. Jego chłodne, siwe oczy zawsze z pośród otoczenia zapuszczały się w dal nieskończoności, tam, skąd zarówno poeta, jak i mąż czynu biorą wiedzę, jak żyć i co robić.

Tam, gdzie przebywał duch jego matki, którą w chwilach ważnych pytał o radę... jak mówił Sieroszewskiemu.

Tak właśnie. Gdy nikt z żywych radą służyć nie mógł, bo ścieżek samotnych nie znał, trzeba było szukać natchnienia w krainie duchów.

Stamtąd nadchodzą rady i podszepty, gdy wszelka „prawda realna“ wychodzi tylko z tego, co już jest, ponieważ jest namacalne, zaś szy-



dzi z tego, co również jest, aczkolwiek dopiero w polu widzenia tylko jednostek.

Znający dokładnie przebieg wypadków życia Józefa Piłsudskiego, dobrze wiedzą, iż ten dzisiaj wódz odradzającej się Polski, otoczony dziesiątkami tysięcy żołnierzy, gloryfikowany przez całą żywą Polskę, że ten sam człowiek, w oczach naszych urastający do patosu bohaterów narodowych, nie tak dawno jeszcze stał absolutnie sam. Odsunęli się od niego najbliżsi przyjaciele, nie rozumieli go ci, z którymi żył i działał, kochany przez nich, ceniony, uznawany.

Opuścili go wszyscy.

Życie Piłsudskiego, jak żywot każdego twórczego ducha, w spiralnym ruchu w zwyż, zawsze wraca do pewnego stałego punktu — do bezwzględnej samotności. I nie sądzimy, że stało się to już po raz ostatni. Niedaleka już może chwila, gdy Piłsudski znowu stanie samotny, i gdy znowu będą nań sarkać. Nie wiemy zresztą, ile w czasie tego, nad wyraz tragicznego — acz — jeśli idzie o chwałę osobistą — tryumfalnego okresu, począwszy od 6 sierpnia r. 1914, ile w tym okresie wojny krwawych godzin samotności przebył Piłsudski. Ile razy mówił to, co tłum gadał, wiedząc, że trzeba mu ustąpić; ile razy musiał dawać uścisk przyjacielski zdradliwej ręce, co mu jutro miała rzucić pod nogi kamień?; ileż to razy słowo biczącej wzdgardy musiało wisieć na wargach męczeńskich, co uśmiech musiały udawać. Musiały! Albowiem tylko

dziecię, tłum, i charłak krzyczy, gdy go boli. Albowiem tylko młodzieniaszek, człowiek słaby i lekkomyślny, powiada to, co wie, w chwili, gdy szczerłość byłaby gadulstwem. Ale wróć zdrajcy prędzej lub później do samotnego, uznają go niewierni, słuchać go będą krnąbrni. Albowiem, jak czyny jego pokazały, ma Piłsudski za sobą sprzymierzeńca wielkiego: prawdę i natchnienie czasu, co przezeń mówi, działa i tworzy.

Jeśli ojcem Piłsudskiego jest samotność, to matką jego wiara. Nie dogmat, nie doktryna, lecz wiara głęboko tkwiąca w naturze rzeczy, z którą wszelki prawdziwy duch w chwilach samotności twarzą w twarz obcuje; wiara w coś, co jest poza nami, a co jest ładem, myślą i sprawiedliwością; wiara w istnienie niezłomnej prawdy, bytującej tak realnie, jak człowiek, góry, morze i gwiazdy; wiara, co nie zna artykułów, ale ma serce, widzące wielkość w każdym żywocie, w żywocie zarówno głupca jak i mędrca, słabego i mocnego, prostaka i króla.

Wiara — mądrość — serce. Stąd siła moralna Piłsudskiego. Żołnierze kochają go, wierzą mu, oddają mu swe życie, jak ojcu. Wiedzą, że nie pośle ich na śmierć dla zachcianki błyskotliwej, ponieważ zna cenę krwi ostatniego szeregowca, krwi równie cennej dla ojczyzny, jak krew jego własna. Och, zdarza się z pewnością, iż wolałyby leżeć w rowie i czoło myślami obciążone nadstawić na wesoły świst kuli, niż czuwać gdzieś w bezpiecznym miej-

scu nad doskonałością krwawego rzemiosła. A co najważniejsze — nie jest on wojakiem z temperamentu, z gorącej krwi, z fantazyi i niepohamowania, z brawury — ale z konieczności, ponieważ tak wypadło, ponieważ Polska potrzebuje rycerzy obrońców.

Kiedyś był mówcą, agitatorem, „dromedarem“ wożącym „bibułę“, rewolucyjnym demokratą; kiedyś mógł udawać waryata, włożyć się po zaułkach, szukać człowieka po fabrykach, wzniecać burzę w sercach prostych i pokornych, kryć się jak pająk, nastawiający sieci. To się skończyło. Przeszedł czas bojowania, potem przyszedł czas wojny.

Był bojowcem, teraz jest żołnierzem.

Czem będzie w przyszłości? Z pewnością nie tem, do czego pchnąć mogłyby go wyrobione koleiny myślenia, nawyknienie, kariery, sława. Piłsudski będzie robił to, co mu czynić każe jego myśl samorodna, poczęta na pustyni. Pójdzie tam, dokąd mu pójść każe jego wiara w człowieka, w naród, w Boga. Jeśli go opuszczą, pójdzie znowu sam, pójdzie drogą samotną twórcy, wielkiego działacza, jasno-widzącego, czyli drogą człowieka, który na podstawie przesłanek niewidzialnych dla ogółu wysnuwa wnioski tak niewątpliwe, jak wniosek na owem historycznym zebraniu w r. 1908, gdy ku zdumieniu, szyderstwu, niechęci wszystkich oświadczył, iż rozpocznie budować armię polską.

Kpili z niego, lecz on uśmiechał się z dobroduszną wyrozumiałością. A gdy mu za-

nadto dokuczili ludzie wąskiego serca i ciasnego widzenia, powiedział im: „ja tak chcę“ — i narzucił im swoją wolę. Przez niego mówił wówczas geniusz narodu.

Łatwiej tworzyć było Legiony Dąbrowskiemu, gdy w narodzie żyła bezpośrednia tradycja polskiego żołnierza, łatwiej było Belwederczykom zrobić bunt i rozniecić wojnę, gdy istniało polskie wojsko, łatwiej było czerwonym wywołać powstanie, gdy wspierał ich żywioł narodu, domagający się już od dwóch lat czynu; ale zorganizować wojsko, gdy tradycja żołnierza zaginęła, gdy szabla była drewnianą szabelką, a polski żołnierz papierową lalą, gdy rycerza polskiego znaleźmy z książki lub z obrazka, gdy byliśmy antimilitarystami, gdy wojna stanowiła czynnik niezależny od nas — w takich okolicznościach brać się do zorganizowania polskiej armii, mając wszystkich przeciwko sobie, bez szkoły, bez pieniędzy, tylko z wiarą w swoją prawdę i w sumienną czystość zamiarów — mógł tylko człowiek, jakiego narodom dają losy w chwilach wyjątkowych.

Toteż trudno znaleźć porównanie, gdy chcemy zjawisko Piłsudskiego ku sobie przybliżyć — nie starajmy się o to. Zbyt aktualną jest osoba naszego wodza, aby można ją wtłoczyć w jakąś formułę.

Piłsudski jest jedyny. Nie wiadomo, do jakiej miary olbrzymie wypadki, w których bierzemy udział, pozwolą rozrosnąć się jemu i jego sprawie, ale to, czego już dokonał

twórca ruchu wojskowego w Polsce, zawiera w sobie składniki doniosłości dziejowej. Bez niego nie byłoby Strzelców, bez Strzelców nie byłoby 6 sierpnia 1914 r., którego najistotniejszą sprężyną był Piłsudski. Ryzyko i odpowiedzialność, jaką wówczas wziął na siebie, posunięcie, które zrobił, wchodząc do Królestwa, rozbudziło naród do czynu, posiadającego już możliwość realizacyi marzeń w organizacjach wojskowych. Stąd powstał N. K. N., Legiony Polskie, P. O. N., z tego jednego czynu prawdziwie błogosławionego poczęło się wszystko, cokolwiek stało się w czasie wojny światowej na obszarze całej Polski. Bez 6-go sierpnia, czyli bez Józefa Piłsudskiego, byłibyśmy wszystkim, tylko nie narodem, który żyje, a więc czegokolwiek chce, który ma wolę do życia.

I rzecz szczególna! Czemże, biorąc sprawę rachunkowo, jest ten Piłsudski? Komendantem kilkunastu tysięcy żołnierzy.

Ale żołnierze ci — to żołnierze polscy, polscy ochotnicy. Wyrażają wolną wolę narodu i są przez ten naród ukochani i popierani. Siła ich materyalna drobna — siła moralna olbrzymia. Może istnieć organizm bez nogi i bez ręki, ale bez głowy i bez serca istniećby nie mógł. Piłsudski i polski żołnierz — to myśl i serce Polski. Znaczenie jego polityczne jest olbrzymie. On to polską sprawę wynosi samym faktem swego istnienia. Znaczenie moralne jest jedyną wartością, która zachowała się wśród zgłiszcz, ruiny i tragedyi materyal-

nej. Niby gwiazda północna, nigdy miejsca nie zmieniająca, świeci nam wśród zniszczenia cel dążeń i usprawiedliwienie niedoli narodu — a jedno i drugie usymbolizowany wyraz znalazło w polskim żołnierzu. Jest wreszcie znaczenie Piłsudskiego i jego dzieła ważne, jako czynnik wychowawczy dla współczesnego i dla następnych pokoleń. Ideał rycerza stał żywy pośród nas. Legendy i śpiewy narodowe, polskie słowo, tęsknota i żądanie, co zwracać się musiały do grobów i z popiołów wyjmować pożywienie konieczne dla żywych: psyche polska, włócząca się dotąd po cmentarzach, aby zaczerpnąć wiary w siebie, dzisiaj pije i pić będzie przez dziesiątki lat z żywego źródła, w którym bije heroicznie serce polskiego rycerza.

To są dziejowe zasługi Józefa Piłsudskiego. Gdyby tylko tyle był uczynił, dość jest, by mu dać miejsce pośród najwyższych duchów polskich.

Ale droga jego jeszcze wcale nie zamknięta, mozolna męka samotnego twórcy będzie trwała. Niejeden lauru liść spadnie jeszcze na głowę tego męża, niejeden cień jeszcze dłonie własnych rodaków wbiją w jego skroń.

Lecz on i laur i cierpienie przyjmie zagadkowym uśmiechem dobrodusznej ironii i sarkazmu nad sobą i nad innymi...

Albowiem on iść musi, bo dzieło jego jest koniecznością silniejszą nadeń, przerastającą

chęć i niechęć tych, co idą z nim albo przeciwko niemu.

Józef Piłsudski jest człowiekiem tragicznym.

Przezeń, niby przez krater wulkanu, szuka sobie dróg żywioł dziejów...

P R Z E Z M G Ł Y

Starszy oficer pilnie badał mapę sztabową. Wyznaczał punkty, żywo porozumiewając się z młodszym kolegą.

— Komendancie, to niemożliwe. Zważcie, na co narażacie swoją osobę, a z nią...

— Daj pokój pochlebstwom. Głupstwo. Muszę tam być. Jutro może trzeba będzie ruszyć dalej...

— No to jutro, gdy będziemy przechodzić przez ten przekłety folwark. Wogóle nie rozumiem tego oporu...

— Muszę, chcę...

— Dobrze, ale ja nie biorę odpowiedzialności.

— Śmieszysz mnie, mój drogi.

— Przepraszam.

— No, nie gniewaj się...

— Do kroćset...! — krzyknął tamten. Dla jakiejś fantazyi sentymentalnej...

— Ho — ho! I wy też skłonni jesteście uważać mnie za fantastę...

— Ale gdzież tam... zmieszał się tym razem młody oficer.

— Zresztą Józek poszedł zbadać okolicę. Jeśli wróci z raportem, że „czysto“... pojedę. Będę z powrotem na dwunastą.

— Dam wam kilku ludzi.

— Dziękuję.

Młodszy oficer strzepnął palcami i usiadł z taką energią, że aż krzesło trzasło.

Starszy wstał, zapiał mundur i, dobroduszno-ironicznym spojrzeniem obrzuciwszy oficera, wyszedł z pokoiku, minął długi pokój jadalny i ogromny przedpokój, ozdobiony rogami jeleni i dzików. Nad drzwiami rozpiął skrzydła ogromny orzeł.

— Jeszcze tylko tutaj są takie duże orły — i w Tatrach — pomyślał.

Przeszedłszy dziedziniec dworku, pełen uwi-jających się żołnierzy, wydostał się poza ogrodzenia.

Wiła się piaszczysta droga w stronę północną. Oficer przeszedł nią, mijając strażę, aż znalazł się zupełnie sam. Domów nie było, ludzi nie było, tylko droga, której szlak gubił się już w zmierzchu, dęby i topole czerwone, jesienne, a opodal po obu stronach rzadkie kępy jodeł i brzeziny. Okolica była płaska. Gdzieś wyłaniał się pagórek piaszczysty, rosochaty, stary dąb — zresztą las i las. Mgły sine i białawe wywlekały się z głębi borów i obłokami zwiewnymi snuły się, otulając ziemię sennym tęsknym powojem. Z poza nich widmowe już tylko zarysy kształtów znaczyły się w coraz głębszej pomroce.

Oficer szedł zwolna. Twarz jego zawsze wyraźna, ostra, w ściągnięciu brwi i skurczu szczęk znamionująca skryzalizowaną wolę,

teraz jakby napiła się z krajobrazu rzewnej, zawodzącej po polesku żalości. Bystre, suche, oczy rozemgły się teraz, czy od patrzenia w miękkie, ciche obłoki mgieł, czy na widok wybladłego księżycy albo tajemnicą tchnących, zlewających się z powietrzem drzew.

Pochylił się, zgarbił. Szabla, wyblaskująca z pod krótkiego płaszczu, obijała się o gołenie niedbale.

Nie poznałby go nikt z jego żołnierzy. Spotkawszy, pomyślałby, że to Poleszuk ospały, chytry i małomówny przesuwająca się między mgłami.

Cóż ci to wodzu?

On sam nie umiałby dać odpowiedzi. Od czasu, gdy go wojna w te strony pchnęła, zgryzota wśliznęła się w serce. Nikt jej nie odczuł, bowiem ludziom nie można jej pokazywać, ale w głębi podgryzała ona wolę...

Rozsypywało się dzieło.

Sprawa, zda się, zaczepiła się o skryty, tragiczny węzeł, niby okręt o nieznaną rafę, która mu grozi rozbiciem.

Nikt rady znaleźć nie zdołał.

W spojrzeniach podkomendnych, w lęku przyjaciół, w popłochu ogólnym słyszał głos: Sterniku! Sterniku!

Już tak bywało... i zwykle potem ogarniała go straszliwa samotność.

Sterniku! Sterniku!

Ty jeden możesz nas uratować.

Ha! ha! ha!

Włóż rękę we własne trzewia, wgrzyź się

myślą we własne serce, sięgnij jeszcze głębiej, rozedrzej duszę na strzępy, a jeśli tam myśli nie znajdziesz — strzel sobie w łeb, zatracen-cze! Wywiodłeś na wojnę — prowadź!

Bądź wodzem!

Ale gdy w minucie ostatniej, kiedy już du-sza twa chyli się nad bezdnem niebytu, gdy wówczas wśród męki najsrozszej znajdziesz prawdę i okazesz ją spłoszonym, gdy zwy-ciężysz — wówczas pochwyćą twą myśl jesz-cze gorącą, jeszcze we krwi skąpaną, wezmą i z dumą wiedzących odejdą od ciebie, a każdy będzie wtedy wodzem dla siebie.

O znam ja was!

Zdawało mu się, że z pośród tych mgieł słyszy: bądź wodzem!

I czuł, że idzie rzecz znanym mu trybem. Ale znajomość pracy i drogi nie sprawiała mu ulgi. Samotność mrozem ścinała myśli, które ginęły, wpadając w otchłań nicości. Chłód sączył się w ciało i zatruwał myśli, że niby nici babiego lata wirowały nieżywe i nie-realne. Pustka wionęła z wnętrza, pustka była na zewnątrz.

Nic, oprócz martwej ziemi; nic, oprócz zim-nych, dalekich, obojętnych gwiazd.

Sterniku! Sterniku!

Tylko szydercze, znieważające myśli są od-powiedzią samotnego.

Usiadł na pniaku przydrożnym.

Snują się mgły, głupie, lekkie, rozlewne, jak serca leniwe. Niby droczące się w bez-myślnej zabawie dziewczęta płasają, włóczą

się, czają i znowu za podmuchem wiatru podnoszą, idą dokądś, uciekają, płaczą się.

Mgły — mgły — mgły —

Wyziewy gnijących wód, oddechy zakisłych moczarów, niewysuszane, stojące bagna, wieczne błota...

Moczary i mgły, niby myśli zabite, pozbawione krwi.

Myśli nudne, umarłe niby wyziewy wiecznych bagien, niby mleczne, bezwolne, wieczne mgły...

Gardzę wami! — mgły kłębiące, plugawe oddechy niewysychających błot — precz!

Wichrze, któryś mnie porwał, coś mnie poniosł na szczyty lodowe, gdzie lotnicy i orły szybują, przejmij me serce płomieniem, abym te oślisze bagniska wypalił.

Wśród welonów mgły zajaśniało światełko. Świeciło i gasło. Płomyk zapalał się w jednym punkcie i naraz przeskakiwał o kilka metrów w bok.

Błędny ogień na bagnie?

Ha! ha! ha!

I z bagna także wyjść może światłość!

Śmieciez się gwiazdy...

Na bagnach kres mojej drogi, a błędne ogniki, to moje myśli...

Światełko kręciło się, gasło i znów siąpiło głuchym blaskiem. Ale zbliżało się zwolna, cicho. Nareszcie zawisnęło już tak blisko, że gdyby nie mgły, możnaby je rozpoznać. Naraz jęło znów skakać, poruszać się i przybliżyć!

Kto tam? — krzyknął oficer.

Ognik zgasł.

— Odezwij się, bo strzelę... — zawołał powtórnie.

— To wy, obywatelu komendancie? — ozwał się ktoś.

— Józek! — a chodźże zwawo, zwawo!

Z mgły wynurzył się Poleszuk w portkach zmoczonych, w łapciach na nogach.

— Cóż tam?

— Dobrze. Mochy zwiały dzisiaj zrana. Dwór wolny.

— Dziękuję ci. Leć na kwaterę i przyprowadź mi konia. A uspokój ich tam co do mojej osoby...

— Według rozkazu.

— Zastałeś we dworze kogo z państwa?

— Tylko kilku ze służby. Na pokojach nikogo. Może tam kto i został, ale nie dopytywałem.

— Cześć! — przyślij mi konia. Za dwie, trzy godziny wrócę.

Cześć! — wyprężył się wywiadowca.

W kwadrans potem tęgi ogier przebijał się rażnym kłusem przez mgły. Gdy wpadał w las, znikał wśród drzew niby centaur; gdy się wyłaniał na drogę polną, wtedy jeździec posepny urastał do wysokości wielkoluda w tym świecie mgieł, cieni, światła i tajemniczych skrzyków i trzasków boru.

Skoczył wreszcie na prawo z drogi. Wiodła tu aleja ogrodowa, prowadząca wśród wyniosłych topól przed dwór, pilnowany przez

dwa gotyckie, ciemne smereki. Krzak róż jesiennych rozlewał woń, kuszącą do życia. Jeździec stanął, zsiadł z konia i przywiązał go do ganku.

Nagle koń skoczył, a do stóp żołnierza przypadł duży, kudłaty pies.

— Aza!

Pies zaskomlał radośnie. Jeszcze żyje! 15 lat... Tak, tu psy i ludzie konserwują się doskonale.

Komendant pocisnął latarkę elektryczną, wstąpił na ganek, pchnął drzwi. Otworzyły się. Wszedł do środka, wyszukał kawałek świecy, zapalił ją i usiadł, nie zdejmując nawet czapki.

Piętnaście lat... Tu był jego pierwszy spoczynek, gdy uciekał ze szpitala petersburskiego, gdzie grał waryata...

Czemż uciekał?

Może to właśnie było waryactwem, że uciekł, aby kraj podnieść do walki?

Oto jest sławny, wielki... Wiedzą o nim wszyscy. Jedni mu schlebiają obłudnie, inni boją się go, najlepsi idą z nim..., wierzą mu... Jakże ich niewielu... I szeregowcy oddani... garść ginąca, gdy im powie „Dziadzio“, że Polska żąda ich krwi...

Lecz gdzie jest armia? Gdzie są te setki tysięcy?

Giną z głodu, przenoszą śmierć nędzarza nad chwałę wojownika, którą krwią trzeba wykupić...

Pocóżem uciekał wtedy?

Tragikomedyja — siły moralnej...

Głód, hańba, ruina...

Sami winni. Sami winni.

Bylibyśmy już dzisiaj w Moskwie, jak ongi...

Wyglądał jak człowiek wydający ostatnie tchnienie. Martwym wzrokiem zapatrzył się w światło świecy. Rozluźniły się mięśnie twarzy, a ręka wzdłuż opadła w niemocy.

Gdzież jest, kto zdejmie ze mnie ten ciężar...?

Nie zauważył nawet, że cicho otworzyły się drzwi tuż za nim. Stała w nich niewiasta w czarnych szatach, wyniosła, o twarzy białej i siwych włosach. Twarz senatorska, regularna, nieco oschła, dziwnie czysta i piękna.

— Synu! — szepnęła wyciągając rękę.

Nie słyszał. Może usnął na jawie?

— Słyszałam, że jesteś blisko... Czekałam...
Mówili, że Legion polski blisko... synu!

Trąciła go ręką.

— Spisz?

Przetarł czoło, ściągnął brwi...

— Kto to?

Zobaczywszy panią domu, która go kiedyś przyjmowała z gościnnością odważną, powstał.

— Poznała mnie pani...

— Jażbym ciebie nie poznała. Wtedy już gwiazda wielkości błyszcząca na twym czole — bohaterze!

— Puste słowo... wybacz pani.

— Cóż ci to wodzu? Zwątpiłeś?

Nie odrzekł.

— Znałam kiedyś Traugutta...

— Ten miał cały naród za sobą — wybuchnął.

— Nieprawda — szyderczo skrzywiła usta. Nie wierz temu. Była nas garść, otoczona niepewnymi przyjaciółmi i tłumem wrogów. Nieprawda. Nieraz on, gdy wątpił, padał na kolana i w modłach szukał siły.

— Ja chcę mieć siłę, nie w sobie, ale poza sobą, faktyczną, realną.

— Ufaj...

— Och ciężko nad wyraz... Już drugi rok trwa ta targanina i coraz głębsze poczucie, że jest źle.

— Tyś nie przegrał.

— Nie o mnie tu mowa. Ja dzisiaj mogę zginać... byleby...

— Znowu gorycz mówi przez ciebie. Tyś jest jedyny!

— Oszczędźcie mi tych hołdów, uginam się pod nimi...

— Wybacz... nie dlatego mówię, co inni... stara już jestem. Nic mnie nie nęci, nic mi oczu nie zamąca. Ale mówię ci prawdę. Od roku tu na ciebie czekamy. Działanie twoje jest ważne.

— Ale cóż dalej, co teraz. Kraj jest wolny, kraj mógłby dokonać dzieła...

— Czekaj. Zdaj się na losy, które nie były ci wrogie.

— Na los zdaje się bankrut.

— Wytrwaj. Świat przemienia się teraz w oczach. Dorastaj z twymi bohaterami.

— Tymczasem pioruny ucichną...

— Ale ja mam jednak wiarę, że z tej wojny wielkie dla nas będą zmiany.

— Nie wystarczy wierzyć. Trzeba chcieć. Tak — już wiem, już chwytam myśl... tak... Ha! ha! — dobrze. Zniżę się, pójdę z nimi... uznam ich bierność za prawdę, uderzę czołem przed ich słabością... tak. Już wiem... potem oni sami wpadną w potrzask... Tak... ułatwię im przemyślenie rzeczy, aż przyjdą do mojego... tak... tak ma być, tak musi być...

— Nie rozumiem...

— Już czas. Zegnam cię pani. Tu przed laty piłem powietrze swobody, odpoczywałem, ja waryat. Dobrze, że uciekłem. Teraz wracam — tam czekają na mnie.

— Słowa twoje pomieszane, niejasne...

— Będą kiedyś jasne...

— Błogosław ci Bóg!

Oficer wypadł na dziedziniec. Siadł na konia. Puścił go cwałem. Twarz mu okrzepła, jak sopel lodu. Pędził przez mgły, jak błyskawica przez chmury. Chwila rozpaczy minęła. Wicher czasów ognia porwał go na swe skrzydła i niosł znowu... hen... ku niezbadanej doli, którą z toni czasu przyszłości wyrывał.

UMARLI, KTÓRZY ŻYJĄ, I ŻYWI, KTÓRZY UMIERAJĄ

Trzech panów. Jeden łysy, drugi z tikiem, trzeci ma nos niby ogromna, racjonalnie wyhodowana truskawka. Chociaż jest dziesiąta rano dopiero, oni mają taki wyraz twarzy, jakby odpoczywali po ciężkiej pracy całodziennej. Oczyma dumającymi o czymś, a może o rzeczy jeszcze niklejszej, wodzą po ścianach, wcale nie racjonalnie brudnych, po bufecie obciążonym stosami zakurzonych, jak dusze starych kawalerów, ciastek.

Pak — tak — cyka zegar, czwarty filozof i gruchot w tem towarzystwie.

Nagle twarz myśliciela z „tikiem“ automatycznie drgnęła, niby przyrząd opatrzony sprężyną. Zdumiało to snadź drugiego, gdyż podniósł brwi do góry. Ale nic nie rzekł, bo i tamten nie wyraził zresztą żadnego życzenia. Twarz drgnęła mu organicznie, jak deski trzaskaną niekiedy w rozsyhajającej się szafie.

Pak — tak...

Tedy przypomniało się myśli, szukającej życia, o Herwinie, który padł pod Konarami. O tym chłodnym, wytrwałym, jak chłop, subtelnym, jak arystokrata, lekceważącym niebezpieczeństwo, jak bohater, Herwinie.

Zdarzyło się razu pewnego, zdaje się pod Łowczówkiem, iż kula wydarła mu kawał mięsa z piersi, niemal do płuc. Batalionowy Herwin trwał mimo to na swem stanowisku. Dopiero wieczorem udał się na miejsce opatrunkowe i stanął w szeregu, nie śpiesząc się, czekając, póki na niego nie przyjdzie kolej. Na zapytanie doktora odpowiedział: „głupstwo“. Gdy zdjęto bluzę okazało się, że z rozszarpanego ciała krew broczyła w ciągu kilku godzin.

Pak — tak — cyka zegar.

— Hę? — napijemy się? — rzekł tryglodyta.

— Niby — a dlaczego?

— No tak.

— Tak — to tak.

— Ognistej!

— Z jajkiem...

— A możeby zrazu piwka.

— Można...

— Potem zakąska.

— Można...

— Potem dopiero kieliszeczek.

— Tak!

— Zaczem koniaczku!

— Czarodzieju!

— I na obiadek...!

Pomruk cichego zadowolenia rozszedł się pośród przyjaciół. Codziennie mniejwięcej powtarzał się ten program wzniosłej zabawy, zawsze rozkosznym pomrukiem witany.

Pak — tak — cyka zegar.

I panowała głęboka cisza wśród poplamionych ścian, nad zakurzonemi, jak dusze starych kawalerów, ciastkami i nad głowami trzech mężów.

Nareszcie jeden z nich ociężałym ruchem złożył dłoń na stoliku i zaczął palcami przebierać. Coraz wyraźniej, coraz mocniej, aż i wargi drgnęły.

— Ta — ra — ra — jął nucić zachwycającym tenorem.

— Bum — bum — bum — podtrzymał go bas z „tikiem“.

— Hi — hi — hi — chrapliwie sekundował nos podobien truskawce.

Tylko mucha jeszcze bzyczała i zegar jeszcze cykał.

— — — — —

Nareszcie kula przeznaczona dosięgła Herwina. Padł odrazu i cicho. W płaszcz żołnierski zawinęli go żołnierze i ponieśli za linię, by grób znaleźć, mogiłkę usypać i znak zatknąć. Nieśli go wzdłuż kwatery wodza, który rzewnem spojrzeniem i pozdrowieniem żołnierskiem żegnał bohatera. A na pogrzebie grały armaty, a nad mogiłą szumiała brzoza — płaczka.... spij rycerzu! W cichym grobie niech się Polska przyśni tobie... ta, dla której dałeś ledwie rozkwitłe ciało i za którą ducha wysokiego i wzniosłą myśl wyzionąłeś.... rycerzu! odkupicielu słabych i niewiernych....

— — — — —

Jakżeż to? Beztroska, zaspana nuda tych tu — i krwawa wzniosłość Herwinów? Tak — to. Są oni w jednym narodzie i w jednej godzinie, niby grudy złota, leżące w ziemi pośród warstw błotnistej gliny.

J Ę D R E K

Jędrak poganiał chudą krowinę, zaprzągniętą do pług i orał. Konia zarekwirowały wojska, a wołu wogóle nigdy rodzice nie mieli. Krówsko, kiwając łbem i wyprężając zadnie kopyta, kuszykało wprawdzie, ale Jędrak więcej miał chyba z niej utrapienia, niż pomocy, to też bez świętego miłosierdzia prał batem bydlę, choć to przecie nie nawykłe do takiej roboty. Co robić — takie czasy. Już się oglądał, czy kto ze wsi nie idzie, a najgorzej te dziewczki, boby go wzięły na ozór, jako taki parobek, a robi krową. Prawdę rzekłszy, ani mu ta robota nie szła, a i myśli napastowały go wcale insze, aniżeli poprzedniego roku przy robocie. Ziemia stwardniała na drewno, żelazo ledwo lazło w grudę, a i obszary, kędy chadzała wojna, nawodziły cudne myśli. Wprawdzie nie trzeszczały tu już karabiny i nie wyły kule armatnie, wojna poleciała gdzieś daleko, ale przecie wszędy było dość znaków po niej. Moskale uciekli, ale okolicami ciągiem przenosiły się wojska to takiej to owakiej maści, to zaś one strzelce, jak ich mianowali ludzie. Chodzili i tacy, którzy namawiali, aby się zapisywać do polskiego woj-

ska i prać Moskala, ale ktoby ta karku nastawiał, kiej go nikt nie musi.

— Hale, kieby to „nasze“ wróciły, sedłbyś, bracie, pod karabin, anibyś mruknął, a tak to se orzes — krowom — zgryźliwie rozmyślał Jędrak.

Aż tu ode drogi usłyszał dźwięk ostróg, głosy ludzkie i śmiech.

Szło se dwóch. Oba chłopaki młode, jurne, śmigłe. Na głowach mieli czapy jak stogi, na plecach kozuszki z czarnym barankiem i bluzy z amarantowemi wypustkami.

— Strzelce! — poznał ich Jędrak i przystanął.

A oni też stanęli i śmieją się.

— Jasiek, miarkujes, jak on orze? — powiada jeden.

— Ano krowom...

— Coby ino krowom, ale to i cielnom... — zaśmiał się.

Jędrkowi jakby w pysk dał, Więc śmignął batem krówsko i pcha lemiesz, ale oradło ani rusz nie chce się wgryść w ziemię, a tamci aż się bierą pod boki. Jędrka hańba pali i złość go od serca zajmuje, ale słucho. Tknęło go szczególnie, iż te strzelcy tak jakosi gadają z chłopska i tak się w mig wyrozumieli na tem, co to krowa cielna.

Aż go znowu zagadnął jeden z nich.

— Ty tam, jak ci ta... Mocnyś jak byk i zdrowy, co tu bedzies łajna kuńskie wyorywał. Podź z nami, tera wojna. Tera wszystko musi iść na Moskala.

- A panowie z której strony?
- My ze wsi z jednej od Krakowa...
- Ja ta ruski.

— Kaj ta twoje ruski! — uciekały, co le-dwie portek nie pogubiły. A do reśty, kiej pódzies z nami, kiej ci karabin w garść wet-kniemy, to ci cała sotnia rusków nie da rady.

— Ale! — nasych ta nie zmocujeta.

— Nie bój się. Ale co ta tyle gadania, idzies z nami, cy nie?

Jędrek poskrobał się po głowie, gorącym wejrzeniem ogarnął kozuszek i szablę, ale się nie mógł przełamać.

— Nie, musu tu nie ma.

— No to se orz z Panem Bogiem — krzyknał ten wyższy, trzasnął szablą i z wielką fantazyą wsadziwszy czapkę na bakier, ruszył. Ale co ino uszedł parę kroków, huknął głośno do swego towarzysza:

— Józiek, wies ty, cem ten gamajda — cywil — będzie bronował?

— Nie...

— Ano bronę sobie uładzi z grzebienia a wesz zaprzęgnie w dyszel.

Buchnęli śmiechem i odeszli z radosnem pobrzękiwaniem szabel i ostróg, tacy żwawi i weseli, jak prawdziwe żołdacy na wojnie. Aż się Jędrek zasepił, patrząc na tych wojaków, idących ku wsi, a serce mu zaskrzy-piało z gniewu. Oj wyzwiałby ich, cholera, i umiałby im odrzec, ale cóż — oni mają szable i rewolwery, a on ino batóg. W stra-

sznym gniewie i rzetelnem zawstydzeniu jął się znowu roboty, ale mu szło jeszcze gorzej.

Wrócił do dom markotny i do ojców ani słowa nie rzekł. Siadł se pod piecem i, ledwie ledwie wybierając z miski kartofle, ciągiem rozmyślał, a w oczach mu stały one strzelce, piękni jak malowanie, z chłopska i górnje gadający. I zwidziało mu się, że to i on idzie z nimi bez miedzę, a szabla mu dzwoni, a dziewczki przygarniają się doń jeszcze krzepcej, niż kiedy.

Naraz podniósł głowę i oświadczył:

— Ja ta już z tom habaninom nie pójde orać.

— Wolis ze psem, to se psa przyprzęgnij — rzekł mu stary.

Jędrek, i tak już wielce rozsierdzony, wściekł się.

— Jeśli wam się widzi, to sobie wychodźta ze psem, jak chceta, bo ja idę w strzelce.

Ojciec poważnie odłożył łyżkę, spojrzął na chłopaka i zapytał:

— Co?

— Co — no co! — abo co! Idę i kuniec. W chałupie podniósł się rejwach.

Jęli mu wykładać i płakać i łajać, ale Jędrek zaciał się i tylko powtarzał: „pójde“, albo: „pójde, psiakrew, i co mi kto zrobi!!“

I rzeczywiście następnego dnia zaczął się zbierać. Gdy to matka zobaczyła i wyrozumiała, że Jędrek swoje przeprowadzi, poleciała do pobliskiej fabrycznej osady. Mieszkał

tam Strzyga, robotnik, wielki „cwaniak“. Strzyga chodził po okolicznych wsiach i prawił niekiedy tak mądrze, że ludzie gęby otwierali i mieli go za takiego mądralę, jak księdza. A Jędrak, bywało, słuchał pogawędek Strzygi i nieraz nawet to i owo wtrącił albo i zapytanie jakie rzucił, czem zwrócił na siebie uwagę Strzygi. Stąd bliższa znajomość i niejaki kamractwo między obu młodymi. Teraz matka, wiedzona dobrem przeczuciem, poszła do Strzygi po radę, i nie zawiodła się. Strzyga miał czasu dużo, ponieważ fabryka robiła tylko dwa dni w tygodniu, zabrał się tedy nawracać Jędrka.

— Nie bójcie się, ja go osiodłam.

A przyszedłszy do chałupy, odrazu wpadł na Jędrka.

— Te, głupi, wojaczki ci się zachciewa?

— Idę w strzelce i niema co gadać. Nie psuj gęby po próżnicy, Józek, nie zdolis.

— A idzie tu kto od nas?

— A Fakiński.

— To jeden...

— A Zdun, a Wyrwa, a Święcki!

— To fraki...

— Co mi tam, fraki cy pepesy — ale poszli.

— Poszli, bo głupi, jak ty.

— Tyś też mądrala — no, no!

— Jędrak, ani wiesz co, ani to pojęcia, co ty się będziesz mieszał w te sprawy.

— Nie gorszym od ciebie.

— Pewnie, ino głupszy.

Jędrak aż prysnął ogniem z oczu i taka go wściekłość przejęła, że cud, iż nie złapał czego i nie puścił w łeb przyjacielowi, ale się strzymał i wzrokiem iskrzącym patrząc weń powiedział:

— Ja ta nie wiem, czyli głupi jestem albo mądry, ale na jedno jestem pamiętny, chociażem był chłopak wtedy, za onej to rewolucyi. Toć przecie widziałem, Józek, jak cie raz strażniki chwyciły, a tyś skrywał coś pod pazuchą. Jeden wzion cie za kark, a drugi grzmotnął w lufę raz, z lewej ręki, potem drugi raz z prawej ręki, aż cię krew oblała. Wyrostek ja był nie duży, ale mie aż garść świerzbiała... Tak cię ony „uśmierzyły“, cobyś nie robił bontu, no i „uśmierzyły“ cię dokumentnie, kiej tak prawisz. Co zaś te strzelce mówiły, to prawda, jako tu już ruskie nie mają być i ludziom doskwierać. Jakom rzekł, tak idę — niech się świat zawali.

I mając już dość onych to babskich lamentacyi a pogadek, powstał i powiedział im uroczyście:

— Nie gębujcie nadarmo, bo już na wojnę pójdę. Abo mi przyjdzie nędznie zginąć, abo wrócę. Tyla chłopca bije się po świecie, to i one wszystkie nie takie ta znowuj głupie, ano może i mądrzejsze od cie, Józek.

I wziął się do układania rzeczy w małym, zielonym kufereczku.

Matka jęła już chlipać i ucierać twarz od gęstych łez, kapiących jej z oczu, a Strzyga stał w milczeniu i patrzył. Czuł, że mu się przyjaciel z rąk wymyka, a w sumieniu kłuło go coś niby wstyd...

P O M S T Y!

Na piaszczystej drodze, wijącej się pośród kęp sosnowych, stał ogromny, długi na wiorsty, tabor chłopskich furmanek. Na wozach siedziały wymizerowane, pożółkłe kobiety, a przy nich kwiliły zapłakane dzieci. Wogóle fury miały wygląd jakiś niesamowity. Obok dzieci sapały tu od upału świnię, a cielęta gramoliły się na stertach worków, ubrań i bielizny. Obok wozów latały psy, ujadając i wyjąc i z wyciem podbiegały do swych gospodarzy, skomlać o jedzenie. Ale ponurzy chłopi nie mieli co dać jeść własnym dzieciom.... więc ten i ów zaciął batem psa, który z piskiem żalnym zwijał ogon i uciekał w pole.

Lecz pole jeszcze okropniejszy przedstawiało widok. Zboże potratowane, albo byle jak pozżynane, leżało na ziemi. Zmierzwiona słoma pokosami całymi leżała, dokąd oko sięgało. Tu i owdzie czerniały na złocistej powierzchni ciemne łaty tam, gdzie ogień chwycił sprzęt i naokoło wypalił. Najżałośniej wyglądały ziemniaki, potłuczone, powbijane w ziemię. Zda się olbrzym jakiś wściekł się i potwornymi stopami szedł po polach, gniótł, targał, wgniatał w ziemię jej płody. Dzika

puszta zionęła z tych obszarów ziemi siedleckiej.

Zdala widać było kilka wsi, raczej wspomnienie po nich, bo tylko czerwone słupy kominów sterczały z pogorzałych chałup. A wśród tych złowróźbnych zgliszcz, niby jęk znękałej ziemi, unosił się biadający wrzask tłumu chłopskiego. Tylko mężczyźni starsi stali w posępnej zadumie, obojętni i śmiertelnie zmęczeni. Ale baby, podrostki i dzieci podnosiły płacz i krzyk. Ten chór potępieńczy rozlegał się od początku aż do niewidocznego końca taboru tak, że zdawało się, iż wyrывa się on z łona ziemi, że kwilą pokruszone źdźbła zbóż i jęczą połamane badyle kartofli, że wyje las i głucho stękają z głębi obnażonej piersi owe smolne kominy wsi pogorzałych.

Dzika groza wionęła od tego tłumu niešťczęsnego, od tej krainy, przekłętej chyba przez Boga i ludzi. Serce zamierało w bezradnej męce, a pierś zaciskała się w obłąkanym szale. Znać było wśród mężczyzn utajony w piersi gniew, ale jakaś siła niewidzialna hamowała gniew ich i ruchy całego tłumu.

Stali, jakby ich czyjaś moc zaczarowała, jak gdyby urzekł ich czyjś rozkaz, czy jakby masowe obłąkanie objęło ich i pozbawiło woli i rady,

Rzekłbyś: odebrano im czucie, myśl, wysano krew. Czuleś: nie ruszą się, póki jakaś wola, z poza nich idąca, nie popchnie ich tu lub tam, jak wichur morski, poruszający morskie wody.

Na ziemi i pod ziemią działo się coś ponurego. Huczało coś i warczało w jej wnętrzu od czasu do czasu, niby pomruk gniewu pańskiego.

A słońce szło sobie po niebie, lejąc na pozogę ziemi gorąco niebieskie — wspaniałe, płomieniste, poczarne w swem niemiłosierdziu.

Naraz zatętniało zdala. Chłopi apatycznie zawrócili głowy. Lecz jeszcze nic nie było widać. Ale tentent wzmagał się, stawał się coraz wyraźniejszy. Gromady psów rzuciły się w tamtą stronę jak zwaryowane, a trwoga zakołysała tłumem.

— Jadom...

— Psy ruskie lecom... bedom nas gnać.

— O Jezu, Jezu miłosierny ulituj się!...

— O — o — o! — zastękał tłum.

— Pogoniom nas na Syberyom, na lody, na śmierć...

— O katy...

— Od głodu, ognia i wojny — łkał śpiew gdzieś od środka taboru.

Najbardziej obojętni mężczyźni zawodzili, najbardziej znużeni pomstowali, albo padali na kolana i wyciągali ręce do nieba. Ten klęczał, ów bił się w piersi, inny wczepił palce we włosy i targał je jak oszalały. Z niektórych wozów wyskakiwali ludzie i, ogarnięci strachem, pędzili przed siebie, wywracali się, klęli, ryczeli.

W jednej chwili wszystko zamarło. Stała

się taka cichość, jak w izbie, gdy dusza ulatuje z ciała.

Tylko tuż tuż, słychać było głucho tup, tup pędzących koni i szcęk żelaziwa wojennego.

Na początku jechało trzech, o sto kroków za nimi kilkunastu, a dalej sunęła cała wataha konnych, zaś jeszcze dalej wlokło się po ziemi coś długiego, ciemnego, niby lewiatan z łyskliwym grzebieniem na grzbiecie.

Tłum chłopski milczał ponuro.

Nikt nawet już nie spoglądał w tamtą stronę. Jak kto był, tak czekał, ten klęczący, ów z palcami we włosach, inny z rękami skrzyżowanymi. Czekali, aż usłyszą wyrok znany im już: Stupaj wpierod! — i świst nahaja.

Konni już dobiegli pierwszych wozów taboru, a jeszcze nikt się nie ruszył.

Jeźdźcy stanęli i w milczeniu patrzyli na okropną mękę chłopską. Nadciągnęła reszta, kilka szwadronów i wszyscy zatrzymali się, jakby zarażeni nieszczęściem, dyszącym od tej ziemi, od tych ludzi i od ich chałup spopielonych.

Chwilę tak postali, nie mówiąc. Już ten i ów z tłumu podniósł głowę, zdziwiony, iż go nie biją i nie każą jechać, gdy jeden z żołnierzy, w czapie wysokiej, czworogrannej, z czerwonymi znakami na bluzie, zawołał:

— Ludzie, nie bójcie się. Pobiliśmy Moskala — już was nie pogna z ziemi polskiej. Wracajcie do domu, skąd który jest.

Szmer podniósł się pośród tych, co słyszeli, a dalsi, rozumiejąc, że się coś dzieje inaczej, jęli nadbiegać.

Ni stąd ni zowąd zawołał ktoś: — to nasi!

— Leguny!

— Nasi!

— O Jezu litościwy, dy to gadały, jako idom nasze, prawdziwe polskie żołdacy, katolickie!

— Toście wy? — zakrzyczano do ułanów Piłsudskiego.

— Ano my!

— Kaj som kozunie?

— W powrozach.

— Toście ich pobiły?...

— Ani jeden nie uszedł...

— A wyście polskie?

— My wojsko polskie, my żołnierze Piłsudskiego! Nie słyszeliście o nas?

— Słyszeli... rany Chrystusa Pana! — chodziły gadki... słyszeli, panie naczelniku! Kiedy nas kozaki wypędzali z chałup, tośma was wypatrowali, ale nikt nie nadchodził... Mówiły, co polskie strzelce som na obrone nasom. Dopiero teraz was widzim... ocy nase szczęśliwe. Kiebyśta byli przyszli wczoraj, toby nam kozunie wsiów nie popaliły...

— Ano wszędzie być nie możemy. Moskał pędzi zewsząd i pali cały polski kraj. Mało nas...

— A dy przecie i z pomiędzy nas najdom się gotowi iść na Moskala. Prać go będziemy bez miłosierdzia, pójdziem do niego palić

mu wsi, rznąć, pomste dać za nasze wioski i pola.

Na te słowa tłum chłopski wzburzył się. Ogień wymknął się z serc zamkniętych i rozgorzał w masie. Niby głos ziemi, znękaney i okrwawioney, niby przekleństwo z lasów, pól i wsi popalonych, niby klątwa ludu polskiego buchnął w niebo krwiożerczy, niemiłosierny, zajadły krzyk tłumy:

— Pomsty! Pomsty!

W P O C H O D Z I E

Deszcz białymi prętami siekł, wlewając się za kołnierz bluzy. Plecak napęczniał i zciężał w dwójnasób. Stopy grzęzły w błocie po kostki, a wiatr sobie u niejednego wyśpiewywał „Trawiatę“ — między podeszwą a skarpetką. Czasem zrywał się wichur i chlusnął żołnierzowi w twarz wodą, jak złośliwa pannieka na Smigus. Ale przy tem nie śmiał się i nie okazywał białych ząbków z pomiędzy różanych warg, jak dziewczyna, ale wył, łomotał, skomlał — jak pies czy — jak boginie zwycięstwa niewidzialnie lecące w powietrzu. Nie zastanawiał się nad tem polski bohater — o tym kiedyś poeci będą pisać wzniosłe wiersze, które belfry przyszłości będą wkuwać w głowiny synów dzisiejszych „szerokotorowych“.

Żołnierz szedł, a gdy mu było ciężej, śpiewał, gdy zaś było najciężej — kłął...

Moskał cofał się i czmychał z wiatrem. Wiatr, psiakrew, morska świnia, pomagał mu i pchał go ku północy i dlatego zapewne dzisiaj nie można go było dopędzić i sypanąć mu ogniem w plecy.

Od czasu, kiedy Piłsudski wstąpił w Lu-

belskie, zmienił się żołnierz polski. Dawniej rycerski — dzisiaj hodował tylko jedną krwawą, nienasyconą żądzę: mordować Moskali, wygniatać ich jak robactwo. Najzacieklejszy nawet esdek zapomniałby o „międzynarodówce“ i żgałby z rozkoszą zbira moskiewskiego. Tę barwę krwiożerczości wnieśli w uczucia brygady chłopci lubelscy i siedleccy. Były ich setki, a wszystkich dusze zaciekle, twarde, zionęły pragnieniem odwetu za palenie sadyb, pędzenie ludzi na północ, niszczenie pólów. W ich spokojnych, zimnych oczach tlił skryty płomyk strasznej nienawiści, którą ugasićby mógł tylko odwet równie straszliwy, jak zbrodnie moskiewskie.

— Kieby to cłek wlaż ino do tej jeich Moskwy sobacej. Tambyśwa pohulali!

— Bandzie, bandzie, Wojciechu — upewniał go towarzysz szeregu, pykając fajeczkę. — Pan Bóg litościwy...

— Co będzie? — zagadnął chłopiec o twarzy inteligentnej.

— Bał dyabelski.

— Oj to, to! — przygwarzał inny.

— Gdzie?

— W Moskwie.

— Jaki bał?

• — Dyabelski bał, obwateleu, piękny bał z cyrwonym kogucikiem i panińskim walcem na przygrywkę.

Młodzieniec zachnął się i rzekł surowo:

— Nie godzi się takich myśli żywić obywatelu...

Chłop wyjął fajeczkę, siarczyście splunął i złośliwym uśmiechem kolnął młodzieńca.

— Młodysta obwatel!

— Nie wolno...

— Doprasom łaski pana obwatela, a tym to psiawiarom była wolność zabierać mi dwóch chłopców? Takie były szceniaki, jako i — ty, doprasom się łaski obywatela. A im tu była wolność spalić mi dom, stłamsić zboże, zadźgać krowinę, wydusić kartofle? Potem poszły psy wściekłe, żołdacy piekielne — a baba mi pomarła na tyfus, bo nie miała co żryć, a mój Michałek, co miał dziesięć roków i gryzł trawę, jak świnia, aż z niego połała sie krew i umarł.

— Psy — zerwało się w najbliższych szeregach.

— Dyable nasienie!

— Zbóje!

— Coby ich Pan Bóg pomordował!

— Coby im baby przestały rodzić!

— Na łańcuchu będziem wodzić, jak wściekłe kundle.

— Pomsta im!

A wiatr wył i niósł na północ: pomsta! pomsta!

Ponuro zawodził, ale żołnierzom zapięklým w świętym gniewie była to muzyka najdroższa, albowiem śpiewała pieśń ich duszy, łaknącej krwi podpalaczy.

Szli już w milczeniu. Nie chciało się gadać i plugawić gęby słowami, gdy myśli były mało subtelne, złe i groźne.

Właśnie kolumna zawróciła drogą z pod lasu i przed oczyma rozwinął się przestrzenny widnokrąg. Szaro-sine mgły mętniały ponad lasami i błędziły po wydmach. Zaś hen daleko, gdzie bure niebo zachodziło na szarą ziemię, różowiła się ceglasto bronzowa łuna, jak to czasem bywa pod zachód słońca w deszcz. Tylko łuna była przyćmiona.

Głuchy pomruk zachwiał szeregiem.

— Palom...

— Kobiety niewolom...

— Bydło wybijajom...

Wtedy wyprysnął z kolumny głos, niby raca z ciemności.

— Ślubowanie ci powiem, Panie Jezusie i Tobie Najświętsza Matko, jako im zbójom w jeich ojcowiznie nie odpuszczę. Domu im nie ostawie, ani bydełka, ani żonki niewinnej, ani dziecka... ino ziemię, bo onej to spalić nie spalisz. Ale w studnie im trucizny wpuszczę, coby się potruły, gdy który kiej wróci, będzie pił. Ano nie gniewaj się na mnie, Panie Jezusie i Ty Najświętsza Panno, boć ta Russek nie człek, ano gorszy od zwierza, chotórego i prawo święte bić przykazuje.

A że przechodzili właśnie obok kapliczki, mówiący wyszedł z szeregu i padł na kolana w błoto i bił się w piersi.

W tej samej chwili bluznął za nim z szeregu szyderczy śmiech:

— Slepuga! Patrzaj ino i nie obrażaj Matki Boskiej.

— Nie bluźnij — oburzył się inny.

— Głupiś! — dy on się modli do Nikołki. Na te słowa modlący zerwał się jakby mu kto głównie podsadził i zajrzał do kapliczki. Prawdziwie. Wewnątrz tkwił krzyż trzyramienny, prawosławny, a z boku wisiał jakskrawo malowany bohomas, mający wyobrażać św. Mikołaja. Była to rosyjska kapliczka, postawiona w „gubernii chełmskiej“ na miejscu dawnej, katolickiej.

Żołnierz aż jęknął. Podniósł kolbę i grzmotnął w kapliczkę, rozbijając w drzazgi krzyżyk, figurkę i całe urządzenie.

— Gorącyś, Józek. Teraz weźno dwa kijki i wstaw do środka krzyżyk naski, jako się patrzy, to ci Matka Boska wybaczy i modlitwy wysłucha.

Żołnierz w istocie jął się rozglądać po krzewach przydrożnych. Tymczasem inni biegli szukać kapelana, aby kaplicę poświęcił. Ten i ów ukląkł modlić się, a że pułk już długo nie miał odetchnienia, szarże pozwoliły się zatrzymać. Gdy to się działo, zaczęły się pojawiać z za wydmy piachu, porośniętej sosną, ludzkie głowy. Była tam wioska skryta, dziś do pół spalona. Ludzie dawno już widząc nowe wojska idące na północ, śledzili je bez obawy, którą tu lud żywi tylko wobec Moskala. Teraz jęli się zbiegać, zbliżać i podchodzić. A coraz liczniej. Najpierw chłopaki, zwolna i starsi, nawet kobiety z niemowlętami na ręku. Żołnierze dowiedzieli się od ludzi, że stała tu przed niedawnymi laty kapliczka katolicka, którą w ostatnich czasach

popi przerobili na ruską. Ktoś ze wsi jednak zniszczył ją i postawił znowu polski krzyż. Wtedy zjechał przystaw z kozakami i rozpoczęło się męczeństwo za wiarę, jak u pierwszych chrześcian. Ludzi bito, więziono, a pięciu ze wszystkim gdzieś zginęło. Kobiety pokazywały na plecach krwawe pręgi od nahałów.

Tymczasem żołnierz krzyż zmajstrował. Gdy już ramiona trzymały się mocno, położył go na ziemi, uklęknął, ucałował, poczem z nabożeństwem wstawił do kapliczki. Teraz wystąpił kapelan wojskowy w habicie bernardyna, w burce kozackiej i strzeleckiej czapce.

Cisza zapanowała śmiertelna. Wiatr jeno szamotał się, huczał i wściekał, jak prawosławny czort. Ksiądz pokropił kapliczkę dookoła, odmawiając modły, poczem, robiąc znak krzyża w powietrzu, zaczął:

— W imię Ojca i Syna i Ducha...

Lecz zaledwie wymówił przeżegnanie jęk żałościwy i radosny stłumił jego słowa. Głośne westchnienia i szlochania zerwały się z cizby chłopskiej i żołnierskiej, zlewając się w dziwny chór, w którym żalił się człowiek, płakała ziemia, a wichur rzucał się jak opętaniec. Kapelan przez długą chwilę nie mógł mówić i stał pod kapliczką wzruszony tak, iż łzy ciurkiem ciekły mu po twarzy wyschniętej...

Potem zaczął: Ludzie chrześcijańscy, ludzie polscy... A że zmrok się już zaczął spuszczać

na świat, słowa jego wysnuwały się jakby z dalekiej, głębokiej krainy, kędy duch wiecznie żywy — czuwa...

Zaś ceglasta ona jasność stała się szkarłatną, a pasy dymów wyglądały niby słupy z czarnego granitu podtrzymujące sklepienie.

CHWILA DZIEJOWA

Cierpienie wchodzi w dom każdy, we wszystkich sercach ból zamieszkuje. Dusze struchlałe trwożnie gną się pod ciężarem wojny, która losy nasze niesie w swem łonie. Niemiłosierna jest wojna, jak żywioł, pracy tam, dokąd pędzi go wola jego własna, nikomu nieznaną.

Czy dlatego mamy być jak owi niewolnicy miażdżeni kołami rydwanu władcy?

Czy mamy trwać biernie, jak widzowie, których zabija kula zabłąkana?

Czy nie zerwał się w imię sprawy — Legion?

Oni giną i trwają i walczą i krwawią się dla ciebie — narodzie.

Narodzie! Narodzie!

Rozbili twe okowy rycerze, czemu nie chwytasz za broń przeciwko ciemiężcy?

Krótko bije i szybko przemija godzina! Abyś zaś, jako bywało, nie ocknął się — za późno...!

Młódź okrzykiem „naprzód“ wzywa cię z okopów i z gór — to serce ziemi polskiej, przepelnione wiarą w dobry kierunek ścieżki, na którą wstąpiło. Tajemnicą jest treść dzie-

jów, przeto młodzieniec czynem ofiarnym ją odgaduje.

Ognisty młodzieniec drogę pokazał ci, narodie! Wzmóż serce swoje, uwierz i pójdz za nim. Stań żywą piersią wobec wroga, a opuści cię lęk i bierny smutek niewolnika, który w siebie nie wierzy.

Albowiem wiara w siebie stanowi siłę i jest sprężyną działania.
Dąbrowa w czerwcu 1915.

C H O C H O Ł

Znasz „Wesele“ Wyspiańskiego?
Głucho tupotają nogi tańczących, stuk, stuk,
żałobnie... jakby przybijano trumnę... stuk, stuk.
Zapatrzeni w siebie, oczarowani własną nie-
mocą... To Chochół. Chochół obrzydły, splu-
gawiony wiecheć słomy, obdrapany, nędzny,
śmieszny... On stoi w rogu izby i gra:

Miałeś chacie złoty róg...

A Jasiek, on jeden jedyny, chwytą się
w tragicznej męce za włosy i woła, krzyczy,
alarmuje:

Chyćta koni! chyćta broni!

Lecz już i w jego sercu odzywa się, kwili
żałosna, wesół, zawodząca, rozhukana śpie-
wka... na dnie serca.

I on wreszcie staje, rozmyśla, duma, tężeje...
nareszcie i on, ukołysany podłą kołysanką nie-
wolnika, zaczyna tańczyć...

Chochół obrzydły, śmieszny, podły śmieć
zapanował już wszechwładnie...

Tęgo gra! tęgo gra!

Hejże śmiały człowieku! Nie wierz złudzie
poetyckiej, nie daj się uwieść plastycznej ironii
poety... ten Chochół — to nie „on chochoł“...
Ten chochoł w twym sercu — to ty!...

Ale przyszedł mąż, który go zabił. Niema

już Chochoła!... Jasiak ocknął się, porwał za
broń, nie czeka już, nie wzywa, nie rozpacza...
Oto już jesień przeminęła i zima i wiosna,
gdy ruszył Jasiak, a z nim ten i ów, ten i ów
jeno...

Chyćta broni! chyćta koni!

Czeka was wawelski dwór!

Biada! gdyby znów wrócić miał chochoł...

Godzina świtania mija — spieszmy się!

Dąbrowa w czerwcu 1915 r.

GOSPODARZU POLSKI!

Co było zagrabione przez Rosyę — odebrane, co należało do niej z naszej ojczyzny — odpada. Rozrastają się obszary polskie, które przez termin nieznaney długości należą do tego, kto je uprawia, kto na nich żyje i owoce z niej wyprowadza.

Gdzieżeś jest gospodarzu?

— Los zwolił ci krótki czas, ażebyś podjął się z barłogu niewoli i wziął na swe barki wzniosły ciężar odpowiedzialności za kraj!

Oto chwila dziejowa jedyna!

Wszystko ci jest dane i wszystko wziąć możesz, gdy zechcesz...

Gospodarzu! — śpisz?

Czyli ci złe demony makiem oczy oślepiły?

Ty, któryś był nazwan „rycerzem wolności“ w Europie, któryś ongi za Rzeczypospolitą wszystko miał za nic — krom wolności?!

Nieprawda, że serce ci zgniło, a mięśnie stały się wiotkie, jak w rozkładającym się ciele. Wmawiał to w ciebie wróg. On to zatruć cię usiłował szalejem obłudy, krew zanieczyścić pragnieniem jeno dosytu, myśli odebrać prężność i moc.

Gospodarzu — zbudź się!

Patrzaj:

Pod mrozem wiekowej niewoli zmarnowana
skiba twej ziemi wzrusza się i ożywa.

Niemasz już robaka, który ci glebę wyjął,
nie masz zbira, co owoc jej kradł i wy-
nosił, chwasty siał i pustkowie hodował.

Uszedł i coraz dalej uchodzi...!

Podnieś się gospodarzu, któryś był ciężko
doświadczany przez wiek za winy przodków
twoich! Teraz, gdy czas pokuty minął, po-
każesz, czyli duch twój skrzepił się w męce,
czyli upadł.

Albowiem kłamać nie możesz.

Dane ci jest wszystko, byś pow-
stał!

Gospodarzu Polski!

Nie wierz sprzedajnym duszom, które cię
zwodzą, mówiąc: Bądź cichy, albowiem po-
kora nagrodzona będzie; czekaj, albowiem
cierpliwość twa zapłacona będzie; którzy ci
powiadają: choryś, słabyś — pilnuj się, bacz
na swoje zdrowie; którzy cię mamią, mó-
wiąc: nie wstawaj, bo który cię podniósł,
godzi na cię!

Zaklinam cię — nie wierz im!

Nie daj, by dom twój nadal był podobny
karczmie zajezdnej między Wschodem i Za-
chodem, nie daj, iżbyś miał być sługą, i ty
i syn twój — a iżby w późne pokolenia gnu-
sność twa obecna miała rodzić owoce.

Cierpiełeś — ale koniec swym cierpieniom
możesz położyć!

Bito cię, — ale rękę znieważającą na wieki
możesz odepchnąć!

Byłeś rabem — możesz stać się panem!
Możesz!

Twoja wola!

Jeśli godzinę przepuścisz, wszystko, co było łaskawe, we wrogie tobie się odmieni, wszystko, co ci mogło sił dodać, w jad się odmieni, a zemsta czynów niespełnionych będzie cię ścigać w obłąkaniu twych myśli i w zajadłych swarach twych dzieci.

Jeszcze dzisiaj możesz!

Twoja wola!

Jeśli zaś godzinę przepuścisz, znowu dom twój stanie się jako gospoda zajezdna, jako dom publiczny, w którym obcy każdy rozkoszy może zażywać — a córki twoje w hańbie będą żyły, a synowie twoi w bezwstydnym upodleniu śmiać się będą, na to patrzący...

Gospodarzu zbudź się!

Twoja wola być jeszcze może.

Horze, jeśli sercem i ciałem nie staniesz za swą ojcowiznę!

Dzieje nie wracają!

Dąbrowa w sierpniu 1915 r.

R O Z Ł Ą K A

(ZE WSPOMNIEŃ WARSZAWSKICH).

Było to trzy lata temu w Warszawie. Właśnie wydaliśmy pierwszą naszą niepodległościową proklamację. Małe kółko ludzi, przeczuwających zbliżanie się dziejowej godziny. Rozrzucenie proklamacyi po mieście przekonało nas o jednym, a raczej utwierdziło w nas myśl, że Warszawa lekkomyślnym krokiem płąsa nad przepaścią... Był to karnawał, szalony karnawał ludzi świadomie lub bezwiednie ogłuszających siebie i innych. Gdy pewnemu inżynierowi pewnej fabryki warszawskiej wręczono naszą proklamację, odezwał się, iż natychmiast doniósłby policji, gdyby wiedział, kto w czasie „ekonomicznej walki“ takie myśli budzi w społeczeństwie. Jeszcze głębszą goryczą mogła przejść wiadomość o pewnej... działaczce socjalistycznej..., która powiedziała, że gdyby jej nie było wiadome, kto tę odezwę wydał — że wydali ją ludzie uczciwi — myślałaby, że to prowokacja.... Ludzie idący za pierwszym lepszym podmuchem myśli, z lenistwa zatrzymujący się na powierzchni „realnego“ życia, uważali, że pleciami im jakieś „bujdy“, potworne głupstwa, posądzali nas niemal o obłąd.

— Wojna? — europejska wojna?! — he! he! he! Europa nigdy się na wojnę nie odważy — ta zgrzybiała staruszka! To dobre dla takich dzikich świniopasów, jak Serbowie, lub jacyś tam Czarnogórcy...!

— Co — Polska?! — Gdzie, jaka, skąd? — Ach wiem, Mickiewicz, Wyspiański, Traugutt! Tere—fere—kuku! młody panie. Brednie romantyczne, literatura...

— Myśmy Polskę zgubili? my? — przesąd, mon ami. Żydzi zgubili nas, zapredali nas, handel nam zabrali... zawsze oni, żyd, żyda, żydzi! Cherchez les juifs!

Albo:

— Rosya? a rynki zbytu? a handel? Kogo pan wolisz... Panie! Niemcy, Niemcy, Krzyżaki!

— No dobrze! — oni tam, a my tu mamy Rosyę, jej szubienicę i katorgę, jej urzędy i jej litwaków, jej demoralizację i carsławny system, równy, zupełnie ten sam, co bismarkowskie „ausrotten“, bo Litwa, Białoruś, Ukraina... stamtąd już nas wykorzenili, wygnietli. Teraz banie paskudne, bizantyjskie banie zdobią nam kraj, od Warszawy aż po Szczakowę!

— Ale gdzie ta, ale gdzie ta — pan poeta! Romantyczną piszczałką w „Nowych Atenach“ spreparowaną już pan nikogo nie zwabisz.

Wszystkie warstwy narodu ogarnął sen kateptyczny, atrofia społeczna.

Tymczasem za „bibułę“ niepodległościową

skazywano na katorgę. Dla ochrony tylko... była to „rzecz realna“. Zandarmi wiedzieli dobrze, że te świstki mogły się były stać zagwiami pożaru w chwili wojny... a jak dzisiaj wiemy, byli przekonani, że się w razie wojny ruszymy przeciwko Rosyi. Słodko się łudzili. Nie przypuszczali nawet, że nas tak ugłaskali.

Lecz wyrwać z narodowej śpiączki trudno było wówczas... nawet najlepszych. Za dużo krwi straciliśmy w 1905 r.

Więc szedłem na zebranie w gorzkim usposobieniu. Jako nowicyusz w „konspiracyi“, przedstawiałem się sam sobie w zagadkowych barwach. To przekradanie się w biały dzień pośród żywych ludzi, zajętych interesami chwili, pośród zgietku tłumu, ulicą drgającą życiem, wesołą, warszawską... to ostrożne przepatrywanie, czy ulica „czysta“... czy znak w oknie wystawiony... bo gdyby go nie było, to znaczy, że się ktoś z nas „wsypał“... Możliwe było, zwłaszcza, że już jedno mieszkanie „zabrudziliśmy“, „dwornik“ zwrócił na nas uwagę i wypadało się pilnować...

Dzień był grudniowy, suchy, powiedziałbym oschły, bo szary, bezświetlny, głuchy.

Szedłem sam, czułem się samotny. Albowiem od tego wszystkiego, co wrzało naokoło życiem realistycznym, byłem oddzielony i „robotą“ i treścią tej pracy, nie będącej, niestety, w żadnym związku z tem, czem zajmowała się olbrzymia większość ludzi naokoło mnie. A w żadnej sytuacyi życiowej nie uwyraźnia się tak silnie poczucie indywidualne,

jak w pracy konspiracyjnej, zamkniętej tajemnicą przed otoczeniem.

Ci, co mieli przyjść na zebranie, pięć osób, stawili się wszyscy.

Słuchałem rozpraw z roztargnieniem. Pamiętam, że wrażliwość moja była nastrojona obserwacyjnie. Jak dzisiaj widzę gwałtownie gestykującego C., o twarzy wychudłej, czarującym zakroju warg, płomienistych, przenikliwych, napierających oczach i dziwnie ostro kątnem czole, pod którym cała dolna część twarzy znikła. Mówił coś, snuł jakieś odległe plany, o perspektywach fantastycznych, obliczonych na poruszenie całego, wielomilionowego narodu. Słuchałem go sceptycznie. Nie zapalały mnie błyski jego wprost genialnej inteligencji, nie przejmowała podziwem jego bystrość umysłowa i wyjątkowa intuicja. Ten C. jest jednym z najzdolniejszych wśród młodego pokolenia polskiego... ale, jak większość przeważna naszych zdolnych, zwichnięty przez rosyjską anarchię naszego życia, przez lekkomyślną gospodarkę rabunkową, prowadzoną przez społeczeństwo wobec najzdolniejszych swoich ludzi, przez najokropniejsze warunki życia narodowego i społecznego, przez nędzę, głód, suchoty.

Tym razem słuchałem pół-uchem, słuchałem, co było pod słowami...

Wtem na podwórku kamienicy, na tym warszawskim, szarym, bezdrzewnym, zagrodzonym obdrapanymi murami oficyny podwórku, odezwała się... katarynka. Zgrzyt-

liwy, chrapiący, drażniący głos katarynki nie zawsze wprawia we wściekłość. Czasem działa, przynajmniej na mnie, dobrze, może wtedy, gdy jestem usposobiony apatycznie... jak wówczas. Zasłuchałem się w rechot onego instrumentu, gdy naraz kataryniarz zaczął śpiewać:

Rozłuka ty rozłuka,
Rodnaja ty storona!
Niczto nas nie rozłuczyt'
Kak mat' syra ziemia!

Śpiewał tym głosem ludowym śpiewaków rosyjskich, nosowym, brzęczącym. Nuta pieśni, którą śpiewał, jest sama żalność bezbrzeżna, ale jakby z lubieżnością niejako zatapiająca i wpatrująca się w siebie. Jest w tej piosence pod smutkiem rozkosz. Prawdziwie smutna i wesoła pieśń... zarazem prostacka i porywająca. Do tego kataryniarz śpiewał ją z dzikim temperamentem. Znać było w nim artystę. Przejmował się. Nie wystarczało mu śpiewać. Zadarł w górę nie tylko głowę ale podrywał i nogi, a lewą ręką w takt wywijał w powietrzu.

Stałem w oknie, słuchałem i patrzyłem. Oplątała mnie ta melodia, zahypnotyzował mnie ten brodiaga rosyjski, zdrowy, krępy chłop o czerwonych, mięsistych, wystających policzkach.

Cisnąłem mu monetę.
Skończył i zaczął na nowo:

Zaczem nam rozłuczatsia
Zaczem w rozłukie żyt'

Nie luczszel' powienczatsia
I tak, kak żyli, żyt'.

Zamieniłem się w słuch. Nie myślałem o ni-
czem — wsłuchiwałem się. I wtedy, jak to
bywa, odrazu tknęło mnie uczucie, więcej niż
uczucie, bo przeświadczenie, że jest tajemny
związek między treścią naszego zebrania, a tym
rosyjskim śpiewakiem.

Rozłuka ty rozłuka...

Zegna się, nas zegna. Rozłąka. Rozłąka mię-
dzy nami... a nim, a między nimi. Rozłąka,
przepaść wieczysta, między tymi pięciu, co
wołali w swych świstkach: „zbudź się, wsta-
waj!“ a tym wędrującym Moskalem.

C. szarpnął mnie na koniec za ramię.

— Zachwycił was, widzę?

— No tak, wsłuchajcie się w to, co on
śpiewa...

— Tak, russkaja, skuczna ja toska — han-
dra — łzy raba...

— Ale... posłuchajcie...

Zrobiła się cisza. I wszyscyśmy słuchali przez
chwilę. A on śpiewał:

Rozłuka ty rozłuka
Rodnaja ty storona!

Ktoś z obcych, kogo rozśmieszyła nasza
powaga, rozśmiał się hałaśliwie i zerwał za-
myślenie.

C. nerwowo poprawił binokle i spokojnie
rzekł:

— A ja wierzę w przeczucia, znaki, nawet

w cuda wierzę... Kryterium dla rzeczy „prawdziwej“ umysł ludzki nie znalazł. Może on, rzekł, wskazując na mnie, miał w tej chwili poznanie rzeczywistości wyższego rzędu i ta piosenka była znakiem, że „oni“ mają odejść... Mówił, intuicyjnie zrozumiawszy moje myśli...

B I T W A

Nareszcie... Skończyły się śmiertelne stráže w rowach strzeleckich. Nadeszły posiłki, tysiące, setki tysięcy, o których nieprzyjacieli nie wie... pokryte lasami... zaszyte w śniegach i kniejach...

Rozkaz!

Dywizya rusza forsownym marszem na miasteczko; obchodzi lasami w ciągu godzin. Z obu flank... Ci w rowach mają maskować odwrót...

Niby watahy tygrysów, potrząsające grzywami z żelaza, rozglądające przestrzeń oczyma zinnymi...

Szeregi za szeregami, kolumny długie niby kanały na Marsie, ciężkie jak góry, straszliwsze od piorunów.

Z pośród sinych równin śnieżnych wyłoniło się już miasteczko, rzuca się w oczy zielono-żółta bania cerkiewki.

Już!

Armaty zaryczą: do ataku!

Baczność!

Cisza.

Śmierć niewidzialna, jak powietrze, i, jak powietrze, wszędy obecna, zawisnęła nad ob-

szarem. Przytomność bóstwa krwi łaknącego
czuje każdy żołnierz.

Czy zginę?

Byle zetrzeć wroga — niechaj zginę!

Wódz patrzy.

Tu klucz pozycji. Tu brama śmierci dla ty-
siągów, tu wrota do zwycięstwa, tu śmier-
telna zapadnia dla wroga.

Uśmiech pewności, niby odprysk strumie-
nia wieczystego, radosny, szalony, ślepy, nie-
zmożony.

Zmiażdży.

Spojrzenie jego śledzą żołnierze, piją zeń
żądzę chwały i ufność w siebie.

Cisza. Wytrwać!

Niechaj zamknie się łańcuch żywy, mocniej-
szy niż stal.

Jeszcze tylko jedno ogniwo.

Tam, gdzie kapiąc krwawymi pąsy łez, za-
chodzi dzień zimny i promienny, tam oko wo-
dza wpatrzone.

Zmierzch zeszedł.

Cisza zajęła świat i dusze.

Nastała noc.

Gwiazdy dygają, niecierpliwą się już,
szepcą...

Wonczas... krwisty wyprysk, łuk ognisty
płomienia — grzmot!

Hurra! — Hurra! — Hurra!

Zahuczała ziemia, rozdarło się jej łono, ży-
wioł niszczycielski runął w jej wnętrza. Ognie
rozszarpały ciemność nocy na całym widno-
kręgu, jedna rzeka płonąca półkolem, żółte,

błękitne, szkarłatne iskry, żagwie, rakiety, ryk ludzi, ryk dział, ryk zwierząt — — szął...!

Myśl zginęła.

Obłąd wystrzelił z ziemi i pocwałował przez lasy, wzgórze, siedziby ludzi i zwierząt.

Tu żołnierz podniesioną kolbą zwałił wroga — trysnęła krew, mózg prysnął. Już go inny naniżał na bagnet. Padł. Koń stanął dębem — lecą z niego wnętrzności. Kupy ludzi kładą się ówdzie — jak przekrajane niewidzialnym nożem. To karabiny maszynowe. Jęk przeraźliwy gromady — i koniec. Tam — w jamie kłębowisko ciał potwornie poskręcanych, nogi, buty, ręce, tornistry, zgniecione twarze, bagnety, mięso ludzkie... to granat.

Obłąd.

Miasteczko ocieka krwią pożarów. Ówdzie wypadł człowiek o zjeżonych włosach, cały w mundurze czerwonym od krwi, pędzi i wyje. Zwaryował. Wpadł do lasu — roztrzaskał się o drzewo.

Tam niepoliczona gromada, błyskająca tęczę jaskrawych łśnień i ponurych cieni, łamie się w kolanach i wznosi ręce do gwiazd. Jeśli ich zrozumieją, będą ocaleni.

Zmiłuj się Boże nad nimi!

Gdzieindziej wsparty o ścianę domu stoi oficer w złocie. Usta otwarte, oczy przekrwione, pierś wyprężona; woła bezdźwięcznie, bowiem szpada wroga przygwoździła go do belki. Będzie tak rozkazywał, ten niemy pomnik okropności, póki nie opadnie fala żywiołu.

Tam żołnierz wrzucił granat ręczny w od-

dział. Członki ciała rozprysły się na wsze strony. Wrzask ostatniej zgrozy zgasł w huczącym łoskocie, od którego wstrząsa się ziemia, niby łono matki rodzącej.

Miasteczko wzięte!

Hurra! Hurra! Hurra!

* * *

Zywiół zwolna uspokaja się. Wschodzi słońce i dzień piękny ogląda zdobycz. Tu i ówdzie dogasa pożar. Domy, połamane niby zabawki, pokazały swe wnętrza ciemne, smutne. Dźwięcząc, jadą działa za działami, chłodne i ciężkie. Twarze żołnierzy zapiekłe, zasmolone, ostre, w oczach lodowaty płomień. Spokojnie rozglądają się na strony, popędzając pękate, rozrosłe konie. Sapiąc tupotem tysięcy nóg, toczy się piechota, dudnią bryki, zgrzyta żelaziwo, krwią napojone.

Pochód zwycięzców wstrzymuje się, roztwiera. Z hukiem wlatuje między wojska samojazd wodza. Niby strzał nagły wyrывa się z piersi wojska okrzyk.

Wódz stanął, podniósł się, przegląda szyki. Maskę posępnego oblicza zasłania liliowa chmurka dobrodusznego uśmiechu, którym pozdrawia i pięści narzędzia swej mocy.

Lecz zanim zdążył odpowiedzieć na powitanie wojska swojego, gdzieś z głębi szeregów rozpoczął ktoś śpiew.

Podnieśli go inni. I pośród zimnego, jasnego dnia, w obliczu słońca, ponad zgryzione przez nocny orkan miasteczko, ponad

trupy bezwładnie rozrzucone po polach i uliczkach, rozplynał się hymn wspaniały, uroczysty, wzniosły, niby tum gotycki.

Wódz stanął, wyprostował się i, salutując, słuchał aż do końca pieśni ogromnej, w której lud żołnierski sławił swego Boga mocy.

A gdy echo twarde słowa podniosłego śpiewu po raz ostatni rozbiło o ścianę podmiejskiego lasu, wódz wyjął szablę i, błysnąwszy nią w powietrzu niby różgą ognistą, zawołał, wskazując ostrzem kierunek :

Naprzód!

Skoczył z miejsca samojazd, a za nim rozjarzoną lawą runęły wojska.

W P I W N I C Y

Dach chałupy zacisznie skrzył się w słońcu. Gruba warstwa śniegu niebiesciła się w obejściu i powietrze tchnieniem promiennym owiewało całą zagrodę. Tem twardszy mrok sączył się z ogromnej, rosochatej sosny, strażującej przy chacie od pół wieku.

Pioruny działał słychać tu było już od dwóch tygodni. Przyzwyczajili się już do nich chłop i baba i dzieci; nawet ponury Brylant nie jeżył sierści i nie wyrcał, gdy głębokie stęki i łaskoty rozdzierały jego czuły słuch.

Chałupa stała o jakie pół kilometra od wsi. Gospodarz właśnie wyszedł z izby i zabierał się do roboty, jak zwyczajnie, gdy na drodze ukazała się gromada konnych. Chłop zakrył oczy od słońca i pilnie patrzył, przemyśliwając już nad tem, gdzieby ukryć wieprza i krowę (bo konia już mu zabrano), ale zanim się obejrzał, żołnierze już osadzili konie przed płotem.

Zdjął tedy czapkę, przygiął się i czekał. Aliści żołnierze nie zsiadli z koni, tylko jeden zwinął dłoń w trąbkę i huknął:

— Zbierać się w te pędy, wziąć babę i dzieci i opróżnić chałupę do południa!

— Co gadacie, panie?

— Teraz tu przyjdzie bitwa.
— Bitwa?
— Głuchys, chłopie? Zwijaj się, pókiś żyw, człowieku, mówię!
— Ze wszyćkiem?
— Co weźmiesz, to twoje.
— A chałupa moja, panie, a chałupa? Onej to nie zdolę dźwignąć na plecy...
— Nie trap się o to, podźwignie ją kto inny,
— Hale! Takiego żołnierza niema na cały świat...

— Wojna.
— Wojna... kiwnął chłop głową — głód i mór — mruknął głucho.

Podjął głowę, aby się jeszcze popytać, ale gdzie tam — one żołnierze pognały już het ku wsi.

Wtedy ci dopiero baba zacznie krzycheć a szlochać i pomstować, co ona bez tom wojnę to i całkiem wszystko straci — o la Boga!

Ale chłop stał ino i ciągiem myślał i sumował, nie dając haczenia na babskie jazgotanie. aż się obrócił ku niej i machnąwszy ręką, odezwał się:

— Nie wrzesc! Trza się brać do roboty prędkiej!

— Do roboty? nie słysałeś, cy jak?

— Nie psuj gęby po próżnicy. Grontu nie ostawię tak na Boskiej opiece.

— To nas pobiją z kanonów.

— Głupiaś, schowamy się pod ziemię. Pi-

wnicę trza rozgrabić, cobyśmy wszyscy mieli pomieszczenie i krowa i wieprzak i co ino jest z pożywienia.

Baba w mig pojęła rzecz i chwyciła się z dziećmi roboty. Wybierali z piwnicy ziemię, dzieci grabiły kijami, palcami, czem które mogło, a ojciec po desce wywoził i wyrzucał na ogród. Potem jęli wnosić słomę i siano, łóżko, ziemniaki, krupy, słoninę, wszystko. Najgorzej było z krową. Ryczała i w żaden sposób nie pozwalała się wepchnąć w ciemny dół. Ledwo, ledwo całą siłą wprowadził ją gospodarz do środka, ale i tam była tak niespokojna, że ją trza było przywiązać za oba rogi do kółka.

A bitwa nadchodziła. Łoskoty i huki wzmagaly się z taką siłą, iż Brylant, zwyczajny już wojny, oblatywał chałupę, wyjąc, albo skomlał i rył łapami w ziemi, gdzie czuł swych gospodarzy, aż się nad nim ulitował chłop i wpuścił go do wnętrza.

W piwnicy było prawie ciemno, gdyż lampka przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, o której kobieta nie przepomniała, dawała światło skąpe. Ludzie ucichli, jakby już polegli w grobie, tylko wieprz chrząkał od czasu do czasu, albo krowa grzebnęła rogiem.

W tej pomroce żałośnie bielily się twarze dzieci, zagrzebanych w słomie. Najmłodsze wreszcie uciekło do matki i usadowiło się na jej podołku. Kobieta dychała jak w gorączce, a gospodarz skulił głowę na kolana i zapadł w ponurą martwość.

Ziemia jęczała. Wstrząsały nią jakby kurcze, jakoby lada chwila miała się rozewrzeć i pochłonąć onych pogrzebanych w piwnicy. Jakieś duchy latały nad nią i wyły, jak opętańce. A co sprawiało największą grozę, iż nie było w tem nic ludzkiego, bo ani głosów ludzi, ani jęków, ani okrzyków nie było słychać. Ino grzmoty, huki, wycia i jakiesi dziwne szurania głęboko w ziemi. Niekiedy rozchodziło się dudnienie i tętent i ciężary suwały się tu i tam, ziemia gięła się pod niemi, a wtedy przyginały się głowy ukrytych w piwnicy, gdyż coraz to wydawało się w dusznem powietrzu, że je coś przygniata i jeśli głowy nie schylić, to on ciężar zwali się na łeb i będzie koniec. Łzy ciurkiem toczyły się z oczu kobiety i dzieciaków. Chłop przykucnął i siedział nieruchomy jak z kamienia, czasem tylko westchnienie okrutne wstrząsało jego piersią, czasem tylko podniósł głowę, wejrzał na obraz święty i znowu ją zwieszał.

Nagle zerwali się wszyscy na równe nogi. Ziemia okolna szarpnęła się, jakby ją mocarz jaki wziął od spodu i potrzasał w posadach, a huk był tak wyraźny i bliski, iż przerażona kobieta wzięła lampkę z przed obrazu i zegnając się, jęła ją przesuwając do twarzy dzieci i męża, aby się przekonać, czy nie pomarli.

Ale nie. Wszyscy byli żywi. Wtedy ustawiła lampkę przed świętym wizerunkiem i, wyciągawszy ręce błagalnie, padła na kolana, za nią dzieci i mąż. Wargi ich przesuwwały się w modlitwie, którą tylko Bóg mógł dosły-

szeć, twarze, zdeptane strachem, krzywiły się boleśnie, a ciała drżały. Męką było czekanie tu pod ziemią, w niewiedzy, co się na ziemi dzieje... lecz struchlała wola nie ośmielała do wyjścia na wierzch.

Zaś po owem straszliwym uderzeniu nastąpiło i drugie i trzecie... i ciągle już odtąd waliło w ziemię, a tak bliźniuchno, jakby szatańskie pięści, wkopując się w ziemię i rozrywając ją od wnętrza, właśnie ów kawałeczek ziemi obrały sobie za przedmiot swej rozjuszonej wściekłości.

Kłęczący ludzie nie modlili się już, nie myśleli, przestawali czuć. Zbili się w jedną gromadkę około gospodarza, który położył na głowach dzieci swe spracowane ręce, a żonę przygarniał do piersi. Za każdym ciosem nieszczęśni uginali się, przypłaszczali do zmiękłej, wilgotnej ziemi, czekając już na ostatnią godzinę.

Zapomnieli o jedzeniu, tylko pragnienie wykręcało im kiszki, że coraz to któreś sięgało do kubka z wodą, by orzeźwić spalone przez duchotę i gorączkę ciało.

I tak straszliwie powoli snuł się czas, godzina, czy doba, noc czy dzień... Któż to mógł policzyć, skoro ani słońka, ani miesiąca widać nie było. W końcu i powietrza jęło brakować. Dzieci posnęły, jak martwe, a kobieta, oparłszy się o męża, osłupiałemi oczami wpatrywała się w Przenajświętszą. Zaczęła ich już ogarniać niespokojność tak dziwna, że aż niesamowita. Piersi rozpierało, a w głowie stu-

kało jak w kuźni i zwidy jęły się komarzyć przed oczyma. Już raz kobieta odstrychnęła się od męża i spojrzała na niego tak, jakby dyabła ujrzała, tego z obrazu kościelnego. Ale napiła się wody i to ją uprzytomniło. Lecz omglenie coraz to zasuwawało się na oczy i już zachciewało się sercu, aby nadeszła ta ostatnia godzina.

Lecz Bóg był litościwy. Oto po czasie nieskończenie długim naraz urwało się owo grzmotanie w pobliżu. Biło jeszcze, ale gdzieś daleko. Trwało to jakiś czas, poczem znowu ziemia zaczęła drzeć, stękać i wyć, aż nareszcie przerwy były coraz dłuższe i wszystko ucichło.

Wówczas gospodarz ruszył się i wyciągnął aż mu wszystkie kości zachręściły, przetarł oczy, chlusnął sobie całym półkwatkiem wody w twarz i powolutku, zataczając się, wziął się przebierać ka wyjściu. Brał jeden schodek za drugim tak ostrożnie, jakby to pierwszy raz w życiu wychodził z piwnicy. Zgiął się, głowę przykulił, plecy podłożył pod zasuwę i dzwignął.

Do wnętrza wdarł się dym, a światło płomieniste i rozżarzone powietrze uderzyło w oczy, jak żagwią. Gospodarz zachwiał się i omal nie rymnął na plecy.

Kobieta krzyknęła, a dzieci porwały się z barłogu, bo im się zdało, że świat cały stanął w ogniu. Ale chłop zgiął się powtórnie, oczy przymknął, z całej mocy odepchnął zasuwę i wyrzwał.

Jego szopa płonęła i lada chwila ogień zajmie okap dachu chałupy. Była noc i zdala rozlewała się łuna olbrzymiego pożaru. To dogorywała wioska.

Gospodarz wsadził głowę do piwnicy i zawołał:

— Antośka, a bywaj! Szopa gore, trza ratować chałupę, bo już do cna obeschła po śniegu.

Poleciał do ogrodu, złapał drabinkę i przystawił ją do ściany, a kobieta już tuż była za nim i podawała wiadro pełne wody.

NA WZGÓRZU ŚMIERCI

Wzgórze jednym zboczem łagodnie schodziło w pola, z drugiej strony dość nagłą ścianą zwisało nad strumieniem i doliną. Kto nad niem panował, ten panował nad doliną. To też walczono o nie z dziką zażartością. Żdźbła trawy, sterczące jeszcze gdzieśgdzie, podobne były do skrzepów zastygłej krwi.

Tuż pod wierzchołkiem wzgórza trzymała się jeszcze, dziwnym przypadkiem, chałupa, żebrami krokwi błyszcząc w słońcu.

Chwilowo wróg miał wzgórze w swej mocy. Już kopał tam rowy, próbował rozpinać drut kolczasty, by się tu umocnić. Lecz tę czynność psuł mu ogień przeciwnika, który dokładnie wymiarkowawszy cel, sypał na wzgórze cetnarami żelaza i ołowiu. Szrapnele i granaty ryły w ziemi, wykopując groby, w które wpadały trupy i ludzie żywi, łopaty i karabiny, pale służące do płotów strzeleckich i kwiczące konie. — Wzgórze skopane było jak kretowisko. Prawdziwe wzgórze śmierci. Próżno oficerowie poganiali żołdatów, płazując, nieraz i ostrzem szabli budząc w sercach cnoty rycerskie, bo ledwo który dotknął się strefy ognia, padał, inni zaś cofali się z rykiem przerażenia i, jak obłąkani, pędzili w dół,

przykrywając oczy rękami i zasłaniając głowy kolbami karabinów. Wtedy przeciwnik pomknął granicę ognia o kilkadziesiąt metrów wprzód, tak, że już całe wzgórze znalazło się pod żywym pancierzem żelaza, lecącego z hukiem, wyciem i chichotem waryackim na wzgórze i poza nie, sięgając chwilami strumienia. Gdy pierwsze pociski wpadły do wody, panika ogarnęła kupy ludzkie. Tłum zrozumiał, że za chwilę odetną mu możliwość odwrotu, i z niepowstrzymaną gwałtownością rzucił się do ucieczki.

Wzgórze zostało odebrane.

Przezornie, jak lisy, obawiające się jeszcze pułapki, czołgali się ku niemu zwycięzcy. Kurczowo ściskając karabin, rozpychali stosy zabitych, spadali w doły, i dalej pięli się w górę. Pierwsi, którzy wpełznięli na szczyt, zobaczyli w dole mrowie kłębiących się w popłochu wrogów.

Odetchnęli.

Lecz pragnienie kurczyło ich wnętrzności. Ołowiany posmak na podniebieniu, żar w płucach. Jeden z nich, nie mogąc przetrwać męki, jaką sprawiało wpatrywanie się w strumień biegnący w dolinie, oderwał się od towarzyszy i jął przemykać się w stronę dziwnym przypadkiem trzymającej się jeszcze chaty, sądząc, że znajdzie tam studnię, może jakąś kość niezupełnie ogryzioną...

Słońce już zachodziło. Armaty wroga milkły. Żołnierz podniósł się i na klęczkach czołgał się do chaty. Wreszcie i to mu za powoli,

wskoczył więc i cwałem pobiegł. Gdy już celu dobiegał, stanął nagle i osłupiał.

Chata wyglądała jak sprzęt w chwili szalu przez kogoś pogruchotany. Z dachu sterczały już tylko krokwie, belki ścian były powykrzywiane, okna wybite. Jednak nie ten obraz wstrzymał żołnierza, zobojętniałego na widoki wojny... Kilka kroków przed chałupą siedziało dwuletnie może dziecko w koszulinie, ogryzając jabłko. Dzieciak plecami opierał się o kłoc do rąbania drzewa i zupełnie był pochłonięty jedzeniem. Nic go nie obchodziło, co się na strasznym świecie dzieje. Twarz miał rumianą i jasną, oczyma zgłodniałymi z rozkoszą oglądał jabłko, mocno zaciskając je w paluszkach. Naraz jabłko wyrwało się jednak z piątek chłopca i potoczyło się o kilka kroków, aż zatrzymał je martwy już, głucho lśniący, podługowaty pocisk armatni. Chłopak wstał i z najżywszą szybkością potoczył się za jabłkiem. W pośpiechu wywrócił się i machnął kozła przez kulę, ale zaraz podniósł się i z uporem próbował złapać wymykające mu się z pod palców jabłko.

Żołnierz spoglądał w milczeniu, zapomniał nawet o głodzie i pragnieniu. Coś mu się wydać przypomniało, bo się zadumał i oburącz oparłszy się na karabinie, jak na cepie, stał i patrzył a na spieczonej twarzy zjawiał się uśmiech pocziwy i łyż gwałtem jęły się cisnąć do oczu.

— Hej cłeku! — hej dzieciątko to nieboze, co se tak igra podle kuli armatniej, kiej kole

dyni żrałej a złotej — myślał sobie. Chyba ino, co go ten anioł stróż w tem piekle bronik...

— A tyś ta cyj, chłopiec? — zawołał głośno.

Dzieciak aż przysiadł ze strachu i jabłko wypadło mu znowu. Chłopiec spojrział na żołnierza, wybałuszył niebieskie oczy, usta ściągnął w podkowę — i beknął.

Żołnierz odstawił karabin, wziął chłopca na ręce i jął go uciszać, a łzy coraz obficiej padały mu na potargane wąsy.

Z W I E R Z Ę T A

Leżał w błocie, rozrobieniem przez krew i deszcz. Nad nim świstały cieniutkie wici brzoź, oszczędzonych przez kule. Tu, w tym lasku brzozowym wrzał bowiem przed wieczorem bój na bagnety.

Ciężko ranny czuł na rozpalonej czaszce jakieś nieznośne brzemie i, żeby je strącić, poruszył głową, lecz wtedy zachrząściały mu żebra i ból wpałił się we wnętrzości, niby rozżarzony nóż. Jęknął cicho i zarył twarzą w krwawem, ckliwem błocie, lecz brzemie owo zmniejszyło się: jedna bezwładna noga trupa, leżącego obok, ociężała zsunęła się z rozgorzałej głowy.

Pragnienie szczypało gardło, lecz okropniejszy był strach, żeby się ból nie ponowił. Przeto ranny leżał, myśląc tylko o tem, aby nie poruszyć rozdartego ciała i męki nie zwiększać. Zwolna świadomość jęła mętnieć, zdało się, iż nagle gaj przeraźliwie zawył, pod powiekami rozlała się parząca, czerwona łuna.

Stracił przytomność.

Błogie omdlenie przerwał mu ból okropniejszy nad wszystkie: jakby tysiąc świdrów wkręcało się w trzewia, zaś boleść najstraszniejsza promieniowała od lewego ramienia.

Ranny charczał i zgrzytał. Niemoc pokrajanego ciała jęła się pod wpływem boleści przerażać w nadludzki bunt. Zerwał głowę, strącił z niej drugą nogę trupa i padł twarzą w stronę lewej szczęki.

Ujrzał wtedy nad sobą siną twarz, nabrzmiałą, z obrzmiałymi kłaczkami włosów na szczękach.

Hyena ludzka.

Złodziej trupów latarką kieszonkową przyświecał sobie i, uklękawszy, wgniótł ramię leżącego w ziemię i z wysiłkiem zdierał z palca ofiary pierścień. Zdawało się, że mu skruszy kość w środku palca. Odór wstrętny, słodkawy wionął z ust zdziercy w twarz bezbronnego.

Żołnierz syknął jak zmija i wbił w zbója wejrzenie pełne bezradnej nienawiści.

Wtem od pól przyniósł powiew wiatru jakiś szum i żywy ruch. Złodziej zgasił latarkę, skoczył na równe nogi i nadstawił uszu. Gdy ranny za moment podniósł powiekę, zobaczył w pobrzasku odległego pożaru już tylko wyolbrzymiały cień uciekającego.

Złodziej utonął w ciemności.

Swistały cichusieńko pręciki brzoź...

Naraz żołnierz doznał na czole dotknięcia czegoś miękkiego i chłodnego. Wzdłuż czoła przesunęło się to od skroni do skroni, niby opaska rzeźwiąca i przynosząca ulgę. Ranny otworzył szparę oka. Nad nim stał pies, lizał go i obwąchiwał. Na grzbiecie zwierzęcia widniała jasna wstęga, na niej rysowały cienie kształty krzyża.

Pies podniósł do góry wąski pysk i szcze-
knął: klaf, klaf!

Powąchał jeszcze rannego i, upewniwszy
się, szczekał już bez przerwy: klaf, klaf, klaf!

Żołnierz omdlał, lecz gdy mu cierpienia wró-
ciły przytomność, leżał już na noszach polo-
wych wśród sanitaryuszów i jaskrawych pło-
mieni latarni. Jeden z sanitaryuszów, człowiek
o wejrzeniu obumarłym, brutalnie klął na
swego kolegę, który w złości kopnął płaczą-
cego się mu pod nogami psa.

Łzy napęłniły oczy rannego.

Nieludzkim wysiłkiem zerwał z palca pier-
ścień i wręczył go chudemu sanitaryuszowi,
szepcząc:

— To dla tego psa...

Trudno mu było rzecz wyjaśnić. Lecz ów
człowiek o wejrzeniu obumarłym wziął pier-
ścień i mruknął uspokajająco, na znak, że pojął.

J E N I E C

Ogólne zdenerwowanie miasta udzieliło się tego dnia także i Wacławowi Skibie. Nikt w Warszawie w wojnę nie wierzył, ale wszyscy o niej mówili, myśleli, mieli ją w oczach, w spłoszonych ruchach, w pogmatwanych i niewyraźnych uczuciach. Na problematycznej fizyonomii miasta oczekiwanie wojny odbiło się niby jaskrawy płomień pochodni na powierzchni stawu, przytłoczonego zielskiem i grubym kozuchem rzęsy. Coś tam w głębi zadrgało, niby odruch życia, gdzieś tam zawrzało sennie — ale ponury staw trwał w zaspianym bezruchu, trwożliwie tuląc się przed gorącym ogniem.

Skiba wracał z lekcji krokiem gnuśnym. Chwytał spojrzenia, gesty ludzi, brał w siebie histeryę tłumu, którą zwiększała duszność skwarne go zmięzchu. Nie myślał. Czasem targnął nim tylko lęk zmieszany z nienawiścią do tego właśnie, co się wyczuwało naokoło i co miał w sobie. Z nieskończoną odrazą objął oczyma postać stójkowego o błyszczących, pyzaty ch policzkach i obojętnych, spasionych oczach. „Zabić go!“ przemknęła myśl i zginęła, niby syk węża.

— Nie, proszę pani, Serbia się nie cof-

nie... bo... — usłyszał z ust jakiegoś przechodnia.

Skiba zachnął się i ni stąd ni zowąd, zirytowanym głosem krzyknął do nieznanego:

— Myli się pan, Serbia już się cofnęła. Czytałem właśnie dodatek — skłamał w żywe oczy.

Nieznanomy zmieszał się. Rozczarowanie zjawilo się na jego zdumionej twarzy.

Skiba na chwilę uwierzył we własne łągarstwo i sam doznał w sobie zawodu. Zrobiło mu się żal czegoś... Ale wnet uprzytomnił sobie, że przecie kłamał, zresztą bez powodu, więc uśmiechnął się smętnie, dziwiąc się owemu uczuciu zawodu i nie pojmując go...

Przerwał mu zamyślenie stróż domu:

— Rewirowy przykazał to panu dać, coby akuratnie dać, z ręki do ręki.

Skiba zadrżał. Wziął kartkę za koniuszek i jakby dźwigał ciężar zbyt ciężki, powlókł się na górę. Usiadł. Był już zmrok, ale Skiba lampy nie zapalał. W tępych bezruchu tkwił przez czas nieokreślony, długi, jak godziny nieszczęścia.

Potem zerwał się w nim lęk, jak kuropatwa. Błysnął w odmętach ginącej woli zamiar: uciekać... Myśl pospiesznie szukała realnego projektu: dokąd? — jak?... jutro przecie musi stawić się... Uciec! — Żadna myśl sposobna nie stanęła ku pomocy. Bezwład owiewał nerwy mdlejącą słodkością, znużenie osnuwało serce. Naraz skoczył ze stołka, chwycił za kapelusz i wypadł na schody. Nie

dostrzegł nawet, że stróż podejrzliwie śmignął za nim spojrzeniem.

Biegł spiesznie, nerwowo. Twarz go paliła, piekły stopy. Wyschnięte wargi zwilżał od czasu do czasu językiem. Teraz już nie słyszał gwaru tłumu, nie podlegał ogólnemu zdenerwowaniu. Był sam. Nie pamiętał nawet, jak długo biegł. Dopiero, usiadłszy na ławce zauważył, że się znalazł w Alejach Ujazdowskich. Tłum przepływał, jakiś chmurny dzisiaj i cichy — ale Skiba był sam. Spojrzał na gałęzie lip, musnął okiem gwiazdy — i wstał z ławki. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Szarpnął się i pobiegł znowu: Piękną, Kruczą na Złotą — tam — do niej... może nie wyjechała... może coś doradzi...

Zastał jednak pannę Lunię. Traf, szczęśliwy traf, że nie wyjechała, jak zwykle, na lotnisko do matki. Opuściło go uczucie czej samotności. Od osoby panny, z jej policzków zarumienionych, płynęła zaciszna pociecha. Na chwilę zataiła się prawda, a miejsce jej zajęła rozkoszna złuda. Uczucie gwałtownej czułości przerwało tamę konwenansu, że przypadł do rąk panny, całując je z rzewnością.

— Panie Waławie — szepnęła zmieszana.

— Idę na wojnę, panno Luniu... Luniu...

— Jezus Marya!

Zbladłszy, oparła się o ścianę, ale narzeczony pochwyił ją w ramiona, podtrzymał i tulił do siebie... Ocierał jej łzy, zcałowywał ustami, kołysał... aż panienka przestała płakać.

Gdy weszli do pokoju, wskazała narzeczonemu miejsce i usiadła zdaleka.

— Fe, wstydziłby się pan. Mamy niema i pan tak mnie napadł, jakby pan naprawdę...

Wyjął bilet wojskowy i podał go jej.

Przeczytała.

— To na prawdę? — jutro o dziesiątej?

— Jutro...

— I cóż będzie z nami?

Skiba nie odrzekł. Otrzeźwiło go to pytanie. Czuł, że co innego powinna była powiedzieć jego narzeczona, o co innego pytać, jakoś inaczej... I znowu doznał uczucia, że go siła jakaś wyrywa i odciąga, że już znalazł się poza obrębem wszystkich. Nikt go nie zrozumie, bo nikt nie potrafi wnikać w to, co się w nim odbywa. Nikt. Był znowu sam. Z niechęcią spojrzął ku narzeczonej i rozpoczął rozmowę, jaką w takiej chwili należało prowadzić. Nawet na myśl nie przyszło mu wspomnieć o zamiarze uciekania. Wydało mu się, że między tamtą siłą, a wszystkimi ludźmi w Warszawie zostało umówione, ażeby poszedł...

Tak! — on już żołdat...

Wszyscy uznali, że tak ma być. Więc dobrze. Zaciekł się w sobie. Już był spokojny jak sople lodu. Usłyszał jeszcze prośbę, odchodząc:

— Niech pan pisze.

— Naturalnie będę pisał, będę nawet depeszował, telegrafował, będę... panno Luniu! — rzekł szyderczo na odchodnym.

O, teraz był już spokojny zupełnie. Wie-

dział, że nie ucieknie, że musi pójść... W uszach zaczęła mu śpiewać pieśń żołdacka i nie dawała mu już spokoju. Kładąc się spać, nucił ją już półgłosem, z gorzką lubością:

Dziewki w sień
My za niemi
Hej — hej —

* * *

Takie usposobienie trwało już stale, a gdy wdział mundur, nabrał przeświadczenia, że żołdaci, to co innego, a cywile co innego. I patrzył na cywilów mimowoli z góry, z pewną wzgardą i złościwością. Nie zastanawiał się już i nie myślał o niczem, to nie do niego należało. Ten sam zakrzepły spokój zauważył w nieruchomych spojrzeniach współtowarzyszy. Nad nieobjętymi masami ziemistego mrowia zapanowała wola inna, obca i bezwzględna. „Jeden“ nie znaczył nic. I Skiba uczuł się zadowolony. Opieszala, beztroska i lekkomyślna obojętność tłumiała w nim myśli i uczucia osobiste. Jeśli nawet wyłoniło się jakieś uczucie, to on je sam lekceważył. W istocie swej nie był już sobą, ale kropelką krwi zbędną i nieważną. Po raz ostatni jeno, gdy ich ładowano do wagonu, złapała go za gardło żałość, a w głębi załśniło poczucie winy czyjejs... zbrodni, dokonywanej na nim... Przez kogo?

Pytanie zamgliło się i utonęło w hulaszczym wrzasku tłumu, stłoczonego w wagonie. Roz-

wiązły ryk udający, w beznadziejnej rozpacz, wesołość — miażdżył myśl.

Wkrótce słyszał już tylko ten gwar żołnierski i rytmiczny stuk kół pociągu, ociężale zeskakującego z szyny na szynę.

Po kilkunastu godzinach wyładowano ich z pociągu, dano karabiny. Rozpoczął się marsz dokądś, długi, nużący, niby koszmar. Skiba zamilkł zupełnie: to nie on maszerował w ten skwarny dzień przez żółte piaski i wioski, ginące w tumanach kurzu. Zdawało mu się, że jest aparatem z mięśni, żył, kości i nerwów, zadziwiająco misternie spreparowanym na podobieństwo człowieka. Szedł ktoś — nie on. Olbrzymi, tysiąconogi jaszczur przewalał się przez niwy i bory, a Skiba podnosił nogi, ruszał rękami według rozkazu, który nie wynikał ze źródła woli, czy z porwy pragnienia. Oczy jego błądziły hen po przestworzu, niczego nie spostrzegając. Z jego serca wyciekło życie — i poza nim życie wymarło. Wlókł się, niby jakimś cmentarzem życia, którego treść straszliwa była wiadoma, ale nie wolno jej było rozpatrywać. Instykt wskazywał, że próba wyzwolenia się z pod masowego omanu groziła obłąkaniem.

Szło się tedy Skibie w ciągu nieobliczanych nocy i dni, aż potworne cielsko kolumny zostało zatrzymane.

Tu miała się odbyć bitwa.

*

*

*

Skiba znalazł się wśród obcych. Polaków porozdzielano grupami po rozmaitych kompaniach. Odczuł tę zmianę jako ulgę. Teraz nie drażniła go już polska mowa, której dźwięk nasycił go przedtem jakimś gorzkim naigrawaniem. Teraz mu nikt nie przeszkadzał zespolic się z przeznaczonem mu zadaniem, to znaczy, wykonywać automatycznie ruchy, bez znajomości ich celu i wartości. Coraz głębiej zapadał w grzęzawisko apatii martwej i głuchej, jak przyroda. Nawet wrażliwość jego przystosowała się w ten sposób, iż odruchowo pomijał wszystko, coby mogło przypominać mu życie, albo wyrwać go z tępoty. Nie widział światła słonecznego, nie zatapiał wzroku w urocze, złociste futra żrącego owsa, z odrazą odwracał się od widoku rubasznie żartujących żołdatów. Dla rozkazów władzy miał obojętność, dla rozkoszy życia wzgardę. Stał się zły i ponury, jak chore zwierzę.

Zwolna zaczęły dochodzić słuchy o zbliżaniu się wojsk austriackich. Skiba dowiedział się o tem z radością: „Skończy się wreszcie ta nędzna sprawa“.

Pierwsze kule, które zaryły się w jego pobliżu, przyjął jak pocałunki śmierci. Uśmiechnął się do nich. Gdy rozkazano strzelać, opierał karabin na wysokim nasypie i pociągał cyngiel, mrużąc do kuli: „leć sobie, kędy wolisz — leć...“ Zagrzmiały armaty. Pociski rozsypywały się wokoło szanców, jak stada piekielnego robactwa, sycząc, gwizdząc, wyjąc. Skiba

wysunął głowę w górę, pragnąc dojrzeć nieprzyjaciela, który przysunął się już blisko. W odległości pół kilometra zobaczył wtedy na łagodnym wzniesieniu małe, okrągłe gałki głów ludzkich, ruszające się i znikające na przemian. Naraz ze strony rosyjskiej zagrzemiał strzał armatni, a jednocześnie stało się coś okropniejszego, niż wrażliwość jednostki potrafiłaby znieść. Z owego wzgórze wybuchnęła chmura pyłu, błota, grud ziemi, rąk ludzkich, nóg i głów. Równocześnie poczuł Skiba ból w ramieniu, jakby go ktoś uderzył kamieniem. Zsunął się do rowu. Ból zniknął, ale prawa ręka była nieruchoma. Usiadł zatem, oczekując, co będzie dalej, czy mu jeszcze każą coś robić, czy go już zostawią w spokoju? Z naprężoną uwagą wsłuchiwał się w wycie przelatujących pocisków. Wtedy usłyszał wśród straszliwego ryku i wirgotu dziki wrzask, krótki i śmiertelny. Szrapnel trafił w pierś żołdaka, znajdującego się o kilkanaście kroków i wybuchając, rozszarpał go na strzępy. Krew obluzgała twarz Skiby. Wówczas żołdaci powyskakiwali na długości całego rowu strzeleckiego i w obłąkanym beładzie jęli uciekać. Ale zanim zdołali przebiec parę kroków, już leżeli na ziemi, wgniatani w nią przez stalowe żądła kul.

Skiba nie ruszył się. Patrzył i słuchał. Nagle, o cztery kroki od niego zakopał się w ziemię drugi szrapnel. — No, ta kluseczka dla mnie — pomyślało się Skobie. Ale gwizdzący gad sam zatruł się widocznie

swoją wściekłością i nie pękł. Jeszcze syknął i zdechł.

Po jakimś czasie strzały umilkły. Skiba lewą ręką dobrał się do torby, wyjął papierosa i zapalił. Cisza zaległa rowy śmiertelne. Czekał. Sam nie umiałby określić, na co czekał, ale miał nieomylnie przeczucie, że teraz musi się coś stać. Stan oczekiwania był tak wyraźny, jak rozkaz. Czekał tak przez czas nieokreślony, może minut kilka, może całe godziny. Wkońcu sen zaczął go morzyć. Potem wydało mu się, że słyszy głosy. Uniósł nieco powieki. Snuły się przy nim jakieś postacie.

Usłyszał słowa:

— Zemdlął.

— Nic mu nie będzie, kość nienaruszona.

— Bogu dzięki.

Skiba uczuł dojmujący ból w ramieniu i krzyknął:

— Won!

Tamci dwaj roześmiali się.

— Nie bój się, trzeba opatrzyć, głupi Moskal.

— Ja Polak — z Warszawy.

— My z Krakowa.

— Bracia! — szepnął Skiba, uśmiechając się po raz pierwszy od nieskończenie długiego czasu.

IDŹ DO PIEKŁA...!*)

Gospodyni z dziećmi była zajęta w ogródku zdejmowaniem całkiem już żrących gruszek. Chłopak wylaźł na drzewo i albo rzucał matce owoc w zapaskę, albo, gdy nie mógł dosięgnąć ręką, potrząsał drzewem. Podwieczór był śliczny, pełen słońca i jasności. To też dziwnie przy błękitnym, czyściuchnym niebie ryczało coś, niby pod ziemią, ale to ryczało groźniej, niż wszystkie grzmoty wszystkich burz, jakie tu kiedykolwiek ludzie słyszeli. Równie dziwne mogło się wydać, że kobieta z dziećmi nie zwracali uwagi na łomot, tak potężny, jakby kto wysoki aż po niebo chwycił w łapska cep morowy na tysiąc wiorst długości i dalejze rym w ziemię: buch — rym — buch — Huk i stęk zaczął się zbliżać do chałupy, ukrytej za sadem, ale gromadka tak była zajęta zbieraniem gruszek, że ją nic a nic nie obchodziły te grzmotania niesamowite.

Kobieta zadarła głowę w górę i wrzeszczała, jak gdyby chciała przekrzyknąć one łoskoty.

*) Fakt, stanowiący motyw niniejszego opowiadania, zdarzył się w Lubelskiem w czasie, gdy walczyła tam brygada Piłsudskiego.

— Pietrek, jak mi bedzies gałązecki łomił, to ja ci gnaty poprzetroncam, obacys, pierunie jeden.

— I, to ja niechący ino, matulu...

— Ja ci dam nie chcący, jaz ci spuknie...

Ale uwagę gospodyni zajął tymczasem inny przedmiot. Oto z drogi skręcił ku chałupie żołdat. Karabin przytrzymuje w jednej ręce, a w drugiej niesie jakąś bańkę dużych rozmiarów. Gospodyni, że to żołdaty teraz na wojnie to największe pany, uznała za stosowne pierwsza przemówić do żołnierza.

— Żołdat, a każ ty idzies ?

— Ja k'tiebia.

— Pewnie ci sie gruszków zachciało, bo som dobre na podziw.

— Nu ładno. Można i gruszki — dawaj.

— Necie i jeszcze i ta tyz ładna.

— Spasibo, matuszka, a to sucho w gorle na wojnie, to i pojem.

— Ano na zdrowie. Cóż tam awstryjcy biją?

— A biut, czorty.

— Dacie im rady ?

— Prawdu skazat' — niet. Wot i chatu twoju mam zapalić, cztoby awstrijec tu nie miał gdzie spać.

— Jaką chatę ?

— Twoju.

— Coś ty zwaryował, żołdat ?

— Nikak niet. Wot i bańku z kierasinom ja imieju, żeby haraszo gorieło. Tak ty zabieraj ditia i idi procz.

— Sołdat, ty nie spalis mojej chudoby, bój się Pana Boga!

— Jej Bohu, zdiełaju.

— Jezu Marya, ludzie, czy wy naród ze wszyćkiem chceta do ruinacyi ostatniej doprowadzić.

— Nu, procz!

— Dam ci 3 ruble.

— Niet.

— 5 rublów, sołdat, przecieś nie zwierz najgorszy ze stworzeń pańskich.

— Nu, dawaj, ale dziesiat rublej.

Baba skoczyła do chałupy, jak płomień, szukać pieniędzy: Wyrzuciła wszystko z kuferka, drżącemi rękami chwyciła chuścinę, w której na węzełek był zawiązany jej majątek. Przeliczyła. Było 8 rubli i 32 kopiejki. Więcej nie miała.

— Wszyćko, co mam, oddaję, zlitujcie się, cłeku.

— Skolko?

Przeliczył dokładnie.

— Wsio?

— Niech tu padnę trupem, jeśli nie prawda.

— Nu, haraszo.

Przeliczone papierki zwinął i schował na piersi, miedziaki rzucił na ogród, poczem z całym spokojem usiadł i zaczął zajadać gruszki w milczeniu. Kobieta stała nad nim jak na straży, mętnym wzrokiem ścigając każdy ruch sołdata. Dzieciska nadbiegły i z wylękłą ciekawością oglądali żołnierza.

Naraz rozszarpał powietrze głęboki a zara-

zem rozlegający się szeroko ryk. Nie był to huk strzałów, lecz jakby grzmot wydobywający się z szerokiej, jak ziemia, piersi ludzkiej, okrzyk tryumfu i wycie dzikie, straszliwe, żywiołowe.

Żołnierz skoczył na nogi, chwycił za bańkę z naftą i pędem jął biedz ku chacie.

Za nim poleciała kobieta, lecz gdy byli przy drzwiach, on kopnął ją, nie odwracając się, butem w brzuch. Kobieta z jękiem padła na progu swej chałupy, lecz natychmiast zerwała się i patrzyła przez okno. Sługa ukląkł na jedno kolano i z wolna, sumiennie jął oblewać podłogę, sprzęty i ściany naftą. Kobieta, zrozumiałwszy co on robi, odskoczyła od okna i wróciła do drzwi. Przymknęła je ściśle i założyła na skobel. Potem szła od okna do okna, zamykała je i przystawiała żerdziami, wbijając jak najgłębiej w ziemię, żeby mocno trzymały. Już przez szparę jednego okna zaczął sączyć się dym, a przez komin wyjrzały pierwsze języki płomienia, gdy usłyszała tętent koni.

Jeźdźcy w wysokich czapach stanęli przed chałupą i widząc, że gore, skoczyli na ratunek. Ale na drodze stanęła im gospodyni.

— Coście za jedne?

— My polskie wojsko... Trza ratować, jeszcze czas...

— Nie trza... szepnęła im kobieta, uśmiechając się okrutnie...

— Bo co?

— Tam je Moskal, zbój, podpalacz. Wzion pieniądze, a i tak podpałił. Niech się upiece,

nie róbcie mu przeszkody, moje ludzie poczciwe.

— Ale to i chałupa wam się spali.

— Ale z nim, z nim — zgrzytnęła zębami z nienawiścią.

Dym już obwinął całą chałupę dokoła, a ze szczelin pod dachem jęły wypryskiwać czerwone iskry. Nagle dało się słyszeć w sieni chałupy gwałtowne łomotanie. Szołdat walił kolbą i wrzeszczał nieludzkim głosem, ale oduurzony dymem bił nie w drzwi, lecz w ścianę. Kobieta zaś stanęła naprzeciwko wejścia i spieczonemi wargami szeptała: a dzis, a dzis! Idź do piekła! tu wypluń z siebie złodziejskom duse — idź do piekła!

Szołdat wył jak obłąkane zwierzę.

W LUBELSKIE M..

Tu i ówdzie lśni tafla jeziora, szaro-biała. Ziemia gnie się pod stopami. Drogi piaszczyste, gdzie w czasie deszczu koła ryją się w błocie po osie, zaś w dzień pogodny żółte obłoki wznoszą się, zasypując pyłem oczy, usta, aż zęby zgrzytają. Widzicie? — dzisiaj tam nie obłoki, ale morza olbrzymie pyłu wydymają się ku niebu, niby mgły złote, purpurowe i krwawe. Kolor ich rozmaity od szarego aż do szkarłatu, przewijanego czarną wstęgą dymu pożarów. Widzicie tysiące żołnierzy biegnących naprzód, spieszących mordować podpalaczy, koić cierpienia pogorzałych. Sami oni osmaleni, wyschnięci od marszu wojennego, w oczach iskrzących się żądzą chwały i zemsty na rozbójniku północnym. Już serce ich rycerskie nie widzi przed sobą wroga, z którym prowadzi się męski bój, nie! serca ich już przejęte pragnieniem pomsty, od czasu, gdy żołnierz rosyjski przestał być honorowym przeciwnikiem, a zamienił się w bydlę, co uciekając, w strachu ryje ziemię, rozwała, tratuje, miazdży... morduje i pędzi niewinnych... Tak lew ściga sza-

kala. Zaiste lwami są ci, co od roku wstąpiwszy na drogę, nie zboczyli z niej na włos, aż teraz los wreszcie mękę ich nagroził, iż witani są jak swoi, jak zbawiciele, jak synowie ziemi polskiej.

MYŚLI I AFORYZMY

SPRZECZNOŚĆ.

Ktoby z Polaków pragnął zwycięstwa Rosyi, ten sprzeciwiłby się własnym przekonaniom. Gdyby pragnął tego socyalista, byłby wrogiem warstwy robotniczej, albowiem najbardziej tę warstwę uciska a najmniej swobody rozwoju i postępu daje jej właśnie — Rosya. — Gdyby pragnął tego katolik, byłby największym wrogiem kościoła; nigdzie bowiem na świecie nie jest kościół katolicki z taką brutalnością gnębiony, jak właśnie — w Rosyi. Gdyby zwycięstwa Rosyi chciał patriota polski, to nie byłby polskim patriotą, albowiem żaden Polak nie może pragnąć wcielenia do państwa, które pochłonęło 80% obszarów dawnej Rpltej Polskiej, które wpływ jej kultury z dziką zjadłością podkopuje i wrywa na Litwie, Ukrainie i Białorusi, które niszczenie polskiej kultury rozpoczęło we Lwowie, zaledwie jego wojska zdołały się tam osiedlić.

Tedy zwycięstwa Rosyi może sobie życzyć tylko socyalista, który nie jest socyalistą, katolik, który nie jest katolikiem, Polak, który nie jest Polakiem. Czyli żaden uczciwy człowiek, ani żaden uczciwy i rozumny poli-

tyk polski nie może sobie życzyć zwycięstwa Rosyi.

SIŁA — I MASA.

Powiadacie, że Rosya jest ogromna i dlatego zwycięży. Pancernik jest także ogromny, a jednak pogrąża go maleńka łódź podwodna. Pancernik to ogromna masa — łódź, to ogromny, genialny pomysł. Dzisiaj siła fizyczna, liczba, ogrom, ustępuje wobec siły oświeconej, charakteru, idei, kultury.

Rosya tonie, jak pancernik, ugodzony torpedą łodzi podwodnej.

WIERZĘ I NIE WIERZĘ.

Nie wierzę, gdy kto mówi o nienawiści i zadawalnia się mówieniem. Człowiek nienawidzący rzeczywiście — nie mówi, lecz czyni. Nie wierzę, gdy ktoś wychwala swą miłość na rynku lub w knajpie. Człowiek kochający nie mówi, lecz w imię swej miłości czyni. Nie wierzę, gdy naród, mający otwarte sposoby zdobywania wolności, nie chwyta za broń, tłumacząc się, że go to lub owo wstrzymuje. Człowiek, pragnący czynu, porywa sposobność nadarzącą się i wybucha. Nie wierzę we współczucie, gdy ono objawia się w stosunku do chwili dzisiejszej, a jest obojętne na całą, wiekową przyszłość. Nie wierzę w miłość endeków do Rosyi, nie wierzę w antysemityzm antysemitów, nie wierzę w nienawiść „dwu-

frontowców“, nie wierzę w miłość esdeków dla proletaryatu...

Wszystko to kłamstwo, obłuda, słowa.

Wierzę w miłość patrioty, który chwycił za broń. Wierzę w miłość bliźniego, gdy cały majątek oddaje bliźniemu. Wierzę w antysemitę, gdy handluje lepiej, oszczędniej i mądrzej, niż żydzi. Wierzę w uczciwość endeka, gdy mówi: nie obchodzi mnie ojczyzna, tylko moje stanowisko i moje dochody. Wierzę w doktrynerstwo esdeka, gdy mówi: co mi proletaryat, byle moja doktryna była słuszna!

Wierzę w to, że kto nienawidzi — zabija. Wierzę w to, że kto kocha — poświęca się.

K Ł A M S T W O.

Okłamujemy siebie i wydaje nam się, że możemy okłamać — dzieje. Powiedział Wilde, który dobrze znał się na grzechu, że każdy grzech skryty wyjdzie kiedyś na wieżę kościelną i pomstę przyniesie na grzeszącego. Tak samo i z nami będzie. Przyjdzie czas, iż dzisiejsza nasza obłuda, tchórzostwo, małość — gorzkie wyda owoce, a świetlana zasługa bohaterów zakwitnie wonnym kwiatem, którego zapach pozwoli uciśnionemu hodować nadzieję w czyn przyszłych pokoleń.

POZYTYWNI KARTOFLARZE.

„Trzeźwi“ politycy uderzyli w trąby zachwyty dla W. Księcia na początku wojny. „Trzeźwi“ politycy zachwycali się autonomią, gdy Legiony niosły niepodległość. „Trzeźwi“ politycy nie widzieli kłamstwa manifestu, rusyfikacji Galicyi, obłudy słów Goremykina i cara, gdy wojska rosyjskie opuszczały Królestwo. „Trzeźwi“ politycy pomijali niszczenie ziemi polskiej — dla realnej polityki. „Trzeźwi“ politycy wreszcie z trzeźwością, godną uwagi, zrozumieli, iż czas jest wynieść się w strefy chłodniejsze — i umknęli na północ.

Zaś romantyzm „nietrzeźwy“ coraz głośniej rozlega się od Karpat aż do Puszczy Białowieskiej.

Któryż tu widział rzeczy pozytywne? Pozytywista — czy romantyk? Realista — czy fantasta? Dusigrosz — czy żołnierz? Bohater — czy filister? Kto był dobrym politykiem, bo przewidział, przygotował się i powziął postanowienie...?

Och, wy pozytywni kartoflarze!

O B Ł U D N I K.

Spotkałem sytego człowieka co biadał przedemną na nędzę mas, na głód, na choroby.

— Co pan uczynił, aby tym nieszczęściom zaradzić?

— Dałem 5 rubli na biednych.

— I z pewnością oddał pan wszystko, co pan posiadał?

— Wybacz pan, ale ja zarabiam więcej, niż 5 rubli miesięcznie.

— Ileż?

— 500 rubli.

— Zatem winien pan oddać przynajmniej cztery piąte swych dochodów.

— Dlaczego?

— Bo tylko w ten sposób nie popełnisz grzechu wobec swego sumienia, cierpiącego z powodu tylu nieszczęść.

— Pan żartuje.

— A pan kłamie.

R A D C A I N I E D O R A J D A.

Kto ma słuszość? — Ten, co daje radę, myśl, ideę pozytywną; ten, co sobie daje radę i innym — ten ci jest prawdziwy doradca.

Człowiek patrzący na sprawę przedewszystkiem negatywnie, widzący rzeczy przedewszystkiem ze strony krytycznej, ten czarnowidz mówiący na wszystko: nie! — ten ci jest prawdziwy niedorajda.

O P T Y M I S T A I P E S Y M I S T A.

Optymista jest twórczy, pozytywny. Jest on zazwyczaj zdrowy, a jeśli chory, to jest człowiekiem woli, która powściąga myśli, podszeptywane przez chorobę. Pesymista patrzy na świat przez swój żołądek, bowiem nie stać

go na tyle woli, by opanować cierpienie. Optymista kocha ludzi, jeśli nie ludzi, to idee, jeśli nie idee, to przyrodę, majestat natury... Dla pesymisty wszystko jest powodem rozgoryczenia. Nawet w niebie zabraknie mu... dyabła.

W istocie „optymista“ i „pesymista“, to tylko pojęcia. Żywy człowiek jest optymistą i pesymistą, chorym i zdrowym, wierzącym i przeczącym. Przewaga czarnej lub jasnej strony zależy od kultury czasu.

Zatem kultywować w sobie, wśród swoich najbliższych, należy to tylko, co wpływa na rozwój i rozrost życia.

Pesymizm jest źródłem nieustannego wątpienia, bierności, negacyi.

Optymizm, czyli odruchowe zaufanie do życia, jest źródłem twórczości, czynu, wiary w przyszłość.

M O D L I T W A C Z Y N U.

Noc.

Gwiazdy migocą.

Księżyc płynie zimny, poczwarny, zagadkowy, jak świat, wszechświat, Bóg — jak ty...!

Świat broczy krwią najmłodszych, najsliczniejszych. najzdrowszych.

Bóg tak chce.

Krwi, jęków, ogromnych wzlotów, bohater-skich morderstw: modlitwy czynu wznoszą się ku Niemu i, jako dusze, odlatują w bezmiary...

Narody świata walczą o swój byt.
Który chcesz być — wstawaj! O źródło
krwawej konieczności nie pytaj — — —
— wodza słuchaj! wodza słuchaj!

KTO CZEKA, TEN SIĘ W KOŃCU DOCZEKA...

Czekać! Czekać!

Bije go jeden, on mu grozi: czekaj ja ci dam!... Ale tymczasem nic mu nie daje, a tamten zaś bierze, co mu jest potrzebne.

Bije go drugi, on mu grozi: czekaj, żebyś czego nie dostał. I nic mu, oczywiście, nie daje, tamten zaś sam się pożywia, czem zechce.

Bije go trzeci, on mu grozi: czekaj, bo jak ci dam... I nic mu nie daje, tamten zaś zabiera sobie, co mu się podoba i odchodzi.

Nareszcie przychodzi doń nie sąsiad już, ale brat rodzony i powiada mu: rusz się, bo zgnijesz, a ten mu odpowiada: czekaj bracie, niech tylko pomyślę... bo czekanie stało się już jego naturą.

Więc czeka, zwleka a potem... ucieka... z własnego domu.

Kto czeka, ten się kiedyś nareszcie doczeka — śmierci.

POLSKI SMUTEK.

Kiedyś byliśmy weseli, lekkomyślnie weseli, przeweseliliśmy ojczyznę.

Dzisiaj jesteśmy smutni.

Dlatego pijemy. Pijemy z przyzwyczajenia, nie dla podniesienia myśli... lecz dla zatrucia smutku.

Tylko upicie się wielkością życia i działania mogłoby zatruć smutek naszych dusz.

FATALNA WADA.

Posiadamy fatalną wadę: nie lubimy energicznie, szybko do końca myśleć i działać. Stąd hasło „bierności“. W czasach, gdy wszyscy się biją, naród bierny bierze od wszystkich ciężki. Ale bądźmy przekonani, że za lat kilka najzacieklejsi dzisiaj przeciwnicy Legionów będą ich zwolennikami... Gorzki, bezpłodny i nędzny będzie to żal za grzechy.

FALSZ.

Zazwyczaj zbyt lekką ręką dajemy sobie rozgrzeszenie. Powiadamy: jest źle, prawda, ale to dlatego i dlatego... Zachowanie się nasze jest niegodne wielkiego narodu, ale temu są winne takie lub owakie warunki. Analizujemy. W analizie, która u samej podstawy rzeczy jest tylko obłudną ucieczką przed tragizmem... doszliśmy do mistrzostwa. Potrafiłszy sobie w sposób subtelny i wyrafinowany wytłumaczyć i wyrozumować naszą słabość, naszą obojętność, naszą indolencję.

Ale czy sam fakt przestaje istnieć dzięki temu, iżśmy go zrozumieli?

Prawdziwie obrotność intelektualna częściej

jest świadectwem upadku i dezorganizacji psychicznej — niżli cechą wyższości.

Moc ducha, energia w działaniu, wola, siła przekonania i charakteru, wiara, oto są istotne elementy wielkości.

INDYWIDUALISTA I SOBEK.

Szczycimy się indywidualizmem. Zaiste: każdy sobie rzepkę skrobie... Nawet krowy są w Polsce indywidualne — powiedział Żeromski.

Mięszamy zazwyczaj te dwa pojęcia: indywidualizm — rzecz szczytna i sobkowstwo — rzecz pozioma. W żadnym społeczeństwie nie prowadzono tak zacieklej walki przeciwko silnym indywidualnościom, jak u nas. W żadnym społeczeństwie — oprócz Rosyi — niema tak nikłego poczucia społecznej całości, jak u nas.

Jaka przyczyna tego?

Brak silnego, własnego państwa.

POLITYKA ŻEBRACZA.

Płacem, jękiem, prośbą tyle można osiągnąć, iż cię wezmą za żebraka i jako żebraka wypchną za drzwi. Szanuje się tylko silnych.

DŁACZEGO?

Dlaczego Polska cierpi? Ponieważ ją lekceważą. Dlaczego ją lekceważą? Ponieważ jest słaba.

CHEĆ I FRAZES.

Czy jest rzeczą możliwą, ażeby naród liczący dwadzieścia pięć milionów głów, był niewolnikiem? Tak, wówczas, gdy ów naród nie chce wolności. Inna rzecz jest myśleć albo marzyć, inna chcieć. Rzeczywiście chce tylko ten, kto czynnie dąży do tego, czego chce.

GRABARZE OJCZYZNY.

Nikt nam nic za darmo nie da. Jeśli chcemy wolności, musimy o nią walczyć. Kto występuje przeciwko Legionom, jest grabarzem sprawy polskiej.

CZYŃ.

Co jest dzisiaj w Polsce działaniem?
Wszystko, co przyspiesza pogrom Rosyi.

D W I E P I E Ś N I

Wzniosły chorał „Z Dymem Pożarów“ przewrotnymi tonami uderzył me uszy pewnego wieczora w Dąbrowie. Kiedyś słyszałem go również tutaj. Śpiewało go grono chłopców i dziewcząt na ulicy. Widocznie wzrusza młodych i starych, wstrząsa, o czemś przypomina sercu tą ponurą melodią, wyrwaną przed pół wiekiem z duszy narodu wiążącego się w tragicznej męce. A wieczór był cichy, majowy, miękki...

Właśnie przed chwilą rozmawiałem z paru legionistami z pierwszej brygady, która stała jeszcze nad Nidą. Rozmowa była wesoła, niefrasobliwa, przeplatana rzewnymi wspomnieniami nagłych alarmów, dziwnych niespodzianek z placu boju i kapitalnych figlów żołnierskich. Szczególnie piękna i przepojona heroicznym komizmem była opowieść o Świdorskim, co zbłądziwszy pod Łowczówkiem, zamiast wrócić do swoich, wpadł do wsi, obsadzonej przez Rosyan. Nie stracił jednak przytomności, ale otworzył drzwi do pierwszej chałupy, aby wywiedzieć się o drogę — i ujrzał w izbie przy stole cały sztab pułku rosyjskiego z pułkownikiem na czele. Było ich siedmiu — ale bez broni. Żołnierz zmie-

rzył z karabinu i krzyknął: „ruki w wierzch!“ Sztab, sądząc, że został osaczony, zdał się. Świdorski wyprowadził z chałupy gromadkę jeńców i zawrócił ku swoim. Po drodze pozbiierał jeszcze kilkunastu prostych żołdatów, którzy, widząc „naczalstwo“ w niewoli, poddawali się skwapliwie. I tak jeden żołnierz, wpadłszy w pułapkę, nietylko wydostał się z niej, ale wrócił do pułku z jeńcami i to nie byle jakimi. Za ten czyn otrzymał medal złoty, list pochwalny i został przez Piłsudskiego mianowany z kaprała — oficerem.

Właśnie zatem rozmyślałem nad radosnem pięknem życia polskiego bohaterstwa w Legionach, gdy jakby na falach księżycowych spłynęła ku mnie wzniosła melodia, żaląca się na swój smutek słowami bardzo żalósnemi: „my już bez skargi nie znamy śpiewu“. Śpiewały je usta niewieście szczerze i naturalnie, jak prawdziwą modlitwę i skargę.

Siłą kontrastu zastanowiło mnie przeciwieństwo między tem wrażeniem tragicznej pieśni, pełnej łez, bólu i beznadziejnego cierpienia, którego końca nie widzi się — a bujnością życia, bijącego z opowiadań legionistów. W tamtej pieśni mrok, rozpacz, nieutulona, niemal schorzała rozpacz — tu zaś w szeregach bogactwo życia, radosna ufność, wiara w przyszłość; tam w tej pieśni, śpiewanej przez ludzi żyjących zdala od walki — przeszłość okrutna, bolesna, niewolna, zaś w szeregach, gdzie śmierć czycha każdej chwili — terażniejszość, ufająca w swą przyszłość, mło-

dość wrząca, prawda realna, życie gorące; tu z jasnych okien wygodnego mieszkania — smutek i kir, tam, z rowów napełnionych wodą, z placu krwawych starć, ran, jęków i bohaterskiej walki — swoboda, pęd, często rubaszna, męska wesołość.

Dziwne istotne przeciwieństwo...

Tam, gdzieby, zda się, ciężka powaga życia, tragiczna zaduma, była chyba na miejscu — rozhukana nieraz, czasem rzewna piosenka — tu, gdzieby raczej oczekiwać należało pogody, szczebiotu, figlów, albo rytmu pracy dnia codziennego — przesmutny chorał Ujejskiego.

Starąłem się zgodzić te dwie struny równocześnie dźwięczące we mnie: tę uderzoną słowem żołnierza i tę rozedrganą głosem śpiewających niewiast — i nie mogłem. Oba dźwięki płynęły z jednego źródła, albowiem oba snuły pieśń o Polsce — dlaczego jednak takie były różne?

Po czyjej stronie była prawda? Która była silniejsza, prawdziwsza, bardziej zbliżona do serca czasu wielkiego, w jakim żyjemy? Czyżby ów smutek straszliwy był dzisiaj prawdą? — czy też owa swoboda bohaterów Piłsudskiego prawdziwiej mówi o temperaturze źródła, z którego obie pieśni wzięły swój ton?

Albowiem i pieśń zasłyszana i wysłuchane opowieści mówiły o jednym: o Polsce; obie były szczerze, obie poruszały myśli o sprawie, nad którą niemasz dzisiaj w Polsce sprawy ważniejszej.

Wróciwszy do domu, zadumałem się. Zwolna jęła ginąć pieśń straszliwa, a jej melodia uroczyście coraz bardziej ginęła w cieniach głębokiej nocy. Zaś coraz wyraźniej, w ogromie prawdy, żyjącej pośród nas, teraz, dzisiaj, zaczęła się wyłaniać owa opowieść o żołnierzu polskim. Setki, tysiące, dziesiątki tysięcy polskich żołnierzy ujrzałem na równinach nadwiślańskich. Siła żywiołu bije od nich, siła szczerą i wielką, jak źródło życia narodowego. Idą do walki, jedni zwyciężają i cieszą się zwycięstwem i jego radość roznoszą krzepiącym okrzykiem od Karpat po Kraków i Warszawę, inni zwyciężając giną, ale ostatnie ich słowo nie jest słowem rozpaczki, lecz mocy: „Niech żyje Polska! — legioniści naprzód!“

Rozdzierająca nuta chorału zginęła już z pamięci. Myśl i serce piły już z tej kruży odraudzającej, w której naród znachodzi krew bohaterską. Zginęła, zamarła przeszłość — a terazniejszość jest oto pełna powagi i swobody, bojów i czynów o Polskę, bo czyn Legionów jest żywą pieśnią narodu, witającego słońce odrodzenia. Tak jest — Legiony są „jutrzemką swobody“. Wszystko, co się snuje po kraju od okopów żołnierza polskiego ma charakter ożywczy, silny, budzący ufność. Tak jest! Gdyby ich nie było — tych żołnierzy i wodza ich, Piłsudskiego — oczy nasze mogłyby spocząć tylko na ruinach i zgłiszczach, jakie za sobą pozostawia wojna. Gdyby ich nie było i wodza ich, każda myśl nasza, w cza-

się wojny światowej, byłaby gorzką trucizną, utrapieniem i zmorą. Gdyby Legionów nie było — musielibyśmy i moglibyśmy śpiewać już tylko pieśni żałobne, bezradne, cmentarne, bo te pieśni byłyby odzwierciedleniem naszego życia.

Błyskawiczne i w skutkach nieobliczalne są takie działania, które przynoszą radość i każą wierzyć w przyszłość, a na usta nasuwają słowa pieśni górnych, śmiałych, zawadyackich, bohaterskich.

Taką jest pieśń, którą w naszej dobie podniósł był na całą Polskę Wyspiański, pieśń, którą śpiewają nieustannie w naszych Legionach żołnierze polscy, która coraz mocniejszym hasłem roznosi się od Dniestru — po Warszawę:

Hej kto Polak na bagnety!
Żyj swobodo, Polsko żyj.
Takiem hasłem cnej podniety
Trąbo nasza — wrogom grzmij!

Dąbrowa w czerwcu 1915 r.

STANICA KRESOWA*)

Najpierw wpadł patrol kozacki. Trzech z karabinami w rękach, skuleni na siodłach, jak Tatarzy, cwałowali galopem... od Stryjskiej rogatki, przez Gródecką, na ratusz. Stanęli. Wyprostowali się, strzelają okiem tu i tam... Cisza tragiczna wielkiego miasta w biały dzień. Ulice wymarłe. Okna pozamykane, bramy zatrzaśnięte, nigdzie człowieka. Cisza pełna trwogi, rozpaczki śmiertelnej, łkania... Patrol odwrócił się i pędem pogonił w stronę, skąd nadjechał.

Czyżby?...

Niestety!

W kilka godzin potem nadchodzą już sotniami, pułkami, dywizyjami...

Kwiaty na siodłach, czapkach, na karabinach, rozhukana pieśń na ustach.

Dnia 3 września 1914 roku zajęli Lwów żołnierze jego Cesarskiej Mości Cara Mikołaja II.

Jęk wionął od Lwowa po Tatry, a odbiwszy się o sine kamienie Gewontu, płynął dalej — jęk — wieść żałobna, niewiarygodna,

*) Z powodu odebrania Lwowa Rosji dnia 22 czerwca 1915 r.

serce Polaków uderzająca niby cios sztyletu....
i gorzkie łzy.

Byłem wtedy w Krakowie.

Ludzie płakali. Lwów... Lwów... twierdza
naszej kultury na wschodzie, tarcza ongi prze-
ciwko chamstwu, dziś strumień światła, na-
sza stacja kresowa i arterya, sprzęgająca
nas z Wołyniem, Podolem, Ukrainą.

Cień padł na dusze, otworzyła się rana,
krwawiąca w ciągu dziewięciu miesięcy. Nikt
z nas nie mógł spokojnie myśleć o tem, że
we Lwowie, już i tam... Moskał, znieprawia-
nie duszy polskiej, knut, ochrana, policmaj-
stry i przystawy.

Jakżeto?...

Oddech nasz stał się krótszy, obieg krwi
bardziej nerwowy, chorobliwy, powietrza jęło
braknąć płucom Polski, obszaru oczom, ziemi
rękom, żywej podniety duchom Polski.

Potem Przemyśl, potem Rzeszów, Tarnów...
ręka zaborcy sięgała już po Wawel!

Zgroza.

Czyli Bóg o nas zapomniał, czy nas prze-
klął? Czy jeszcze nie przepełniła się miara
nieszczęścia Polski?

Zyliśmy w trwodze, w szlochaniu skrytem
i zapiekłej męce...

Pisano, iż jeszcze w połowie września mia-
sto żywiło nadzieje... Pisano potem, że kie-
dyś w zimie dały się słyszeć nocy pewnej
odgłosy dział od Stryja. Nadzieja radosna
wzburzyła serca Lwowian do szału. Chroniąc
się oczu agenta, pożółkli z nędzy, zbiedzeni,

już beznadziejni, biegli ku stryjskiemu ogrodowi, za miasto, wypatrywali, wsłuchiwali się... zali przyjdzie głos z Europy, zali uszy rozweseli przerażający niegdyś ryk armat?

Miesiące, miesiące, miesiące... och długie, jak rozpacz... Jesień, zima, wiosna... Zatem koniec!

Naraz: Tarnów odebrany, Rzeszów, Przemyśl... Ach!... Przemyśl... Może jutro... może...

Dnia 22 czerwca 1915 r. Lwów został odebrany.

Co to znaczy?

Znowu sztandar polski na gmachu jedynego Sejmu naszego! Znowu uniwersytet polski, jeden z dwóch, znowu Zachód powierzający polskiej dłoni straż nad swemi skarbami.

Lwów był siedliskiem kultury polskiej i kultury zachodnio-europejskiej. Nauka i sztuka polska twardą stopą zakorzeniły się we Lwowie. Nazwiska Kasprowicza, Staffa, Irzykowskiego, Zapolskiej, Ruffera, Ostapa Ortwina, Jedlicza, to nazwiska artystów, których Lwów wykołysał. Żaden z pisarzy, dramaturgów, posłów, malarzy, Lwowa nie omijał. Tam teatr, jakiegokolwiek prądy w nim panowały, niósł polskie słowo polskim słuchaczom. Tam Przybyszewski, gdy objeżdżał Polskę, stawał i głosił swe teorye, tam Feliks Jasiński zdobywał masy dla swej „japońszczyzny“, tam każdy, kto miał w Polsce coś do powiedzenia, bywał, żył, mówił, głosił... wraz ze wszystkim złem i dobrem, które każdy strumień kulturalny z sobą niesie. I można po-

wiedzieć, że jeśli Warszawa nie żyła pełnią sztuki, jako że sztuka z życia wyrasta i do życia mówi, a życie tam było piwniczne, zgłuszone i znieprawione, jeśli Kraków daje nam sztukę wielką i ożywczą, to Lwów podejmuje tę pracę z temperamentem o wiele gorętszym i bardziej bezpośrednio. Dzięki różnorodnym przyczynom Lwów posiada temperaturę wyższą, niż Kraków, tam każde zagadnienie, każdy kierunek i prąd artystyczny, naukowy, czy społeczny, załamuje się o wiele wyraziściej, niż w Krakowie.

Kraków, to dostoyny, poważny, pełen taktu senator, gdy Lwów to gorący, płomienisty rycerz. Jest w nim coś z natury stepowca i szerokości obszarów, coś z temperamentu południowca i zapalczywości junaka.

Stąd i tędy szła polska książka w dalekie strony polskie, po Kijów i Odessę. Tu student, wypędzony z uniwersytetu rosyjskiego, przyjeżdżał, tu społecznik i rewolucjonista znajdował opiekę, spokój i natchnienie nowych, świeżych myśli. Stąd szedł w polskie dwory ukraińskie renesans polskiego słowa. Ten i ów, który nie wiedział o Wyspiańskim, o Norwidzie, tu we Lwowie słyszał o nich z desk scenicznych, z katedry uniwersytetu, choćby ludowego, z prelekcji, z długich siest, spędzanych po kawiarniach do świtania. Nigdzie tak gorąco nie obchodzono — swego czasu — jubileuszu Konopnickiej, jak we Lwowie, nigdzie nie znalazły organizacje polskie wojskowe takiego poparcia, jak tu. A literatura,

sztuka słowa, najistotniej związana jest ze sztuką czynu i działania — zwłaszcza u nas.

Tę placówkę polskiej sztuki, o którą z taką pieczołowitością dbał czcigodny Rutowski (którego osoba w te miesiące tragiczne wojny wzniosła się na wyżyny Jedynego Strażnika Polski, pośród zalewu moskiewszczyzny) tworząc Muzeum — tę placówkę, nie łudźmy się, bylibyśmy stracili. Polskie słowo zostałoby znieprawione, zatrute rusyfikacją, wygnane z uczelni, szkół, z lokalów publicznych, z teatru, pozbawione ciągłej kultury, jaką mu zapewnia jasność dnia i swoboda.

Ten cios zadany mowie naszej i kulturze został odparty. Lwów jest wolny, odzyskany dla wolności i polskości, dla polityka i profesora, dla pisarza, poety i dla dziennikarza polskiego.

Pierś nasza oddycha znowu szerzej.

Żołnierze nasi, prości żołnierze, którzy smutnie zawodzili wychodząc ze Lwowa w jesieni:

„W dzień deszczowy i ponury
Z cytadeli idą góry,
Szeregami lwowskie dzieci
Idą tułać się po świecie“

— — — ci żołnierze wrócili do Lwowa w gloryi zwycięstwa, a za nimi wraca — Polska.

KRYTERYUM POLSKIE

W codziennem, gwałtownem ścieraniu się poglądów, opinii i przekonań, często zdarza się, iż zatracamy związek, łączący nas z istotą rzeczy, rzeczy ponad wszystko ważniejszej. Punkt, z któregośmy wyszli, niekiedy ginie, a myśl gubi się w sprzecznym chaosie codziennej walki. Szczególnie trafić się to może w czasach, kiedy gra idzie o stawki najwyższe, bo o los narodu i jego przyszłość. Winniśmy mieć serca, przeczuwające rzeczy na wiek naprzód, myśli nasze winny mieć wieczystą perspektywę. Bo zresztą — czy sobie z tej odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń zdajemy sprawę, czy nie, to i tak, działając dzisiaj w ten lub w inny sposób, tworzymy przyszłość narodu, układając jego dzieje na niewiadomy, ale z pewnością bardzo długi okres czasu. Nie wolno zapominać nam o tem, że dzieje nie prędko udzielą nam tak łaskawej sposobności, jaką dzisiaj jeszcze mamy — już może nie długo, ale jeszcze mamy.

I z takiej perspektywy rozmyślając nad sprawami, łatwiej uprzytomnimy sobie źródło rzeczy i rdzeń zagadnienia polskiego. Zdawałoby się chwilami, iż ci lub owi walczą z zawziętością o pewne hasła, poglądy, opinie,

programy. Lecz wobec dziejów — czemu są poglądy i hasła? Czemu są one wogóle wobec nas samych, gdy w samotności myślimy swoim przyglądamy się? Cóż tu jest momentem rozstrzygającym: „obiektywna“ wartość tego lub owego stanowiska? — czy raczej taki lub inny organiczny niejako ustrój danej jednostki, który ją skłania do przyjęcia tego właśnie a nie innego stanowiska, poglądu, myśli, programu? To pewna, że człowiek dobiera sobie myśl. Następuje tu tajemnicza praca poszukiwania takiej nadbudowy myślowej, któraby odpowiadała moim odruchowym, moim żywiołowym potrzebom, pragnieniom i tęsknotom. Wszelka ideologia nie jest niczem innym, jak tylko rusztowaniem, pozwalającym budować coraz wyżej, wspinać się na coraz wyższe piętra. I dlatego poglądy przekonania, programy jakiejś grupy ludzi, partii, czy warstwy są niezmiernie ważne jako symptomat, a nie same przez się „jako jedyna, wyłączna, bezwzględna prawda“. O jaki nam tu idzie symptomat? Z pewnością nie o siłę logiczną lub uzasadnienie historyczne danego kierunku idzie, lecz o to, czemu dany kierunek jest w stosunku do pozytywnego faktu życia.

Dzisiaj zaś myśl nasza powinna prowadzić jak najściślej kontrolę poglądów, oraz znaczenia ich wobec najważniejszej sprawy, jedynej, która dzisiaj nas obchodzi, jedynej, dla której warto żyć: — o ile mianowicie dane poglądy służą sprawie niepodległości, o ile zaś jej szkodzą. To jest kryterium jedyne. Ta-

kie kryterium może i musi przyjąć każdy Polak. Z tego „stanowiska“ ma obowiązek i prawo moralne oceniać siebie i otoczenie, swoje czyny i czyny swego otoczenia.

Wszystko, co służy sprawie niepodległości, dobre jest, wszystko, co jej szkodzi, złe jest. Nie jest czas na przewlekłe analizy i teoretyczne uzasadnienia, przeto formuła czasu musi być wyraźna, prosta, absolutna.

Czemże jest wobec tej naczelnej zasady polityki narodowej „pogląd“, „stanowisko“, „oryentacya“ bierności, trwania, czekania? Zbrodnią. Zbrodnią, do której nie dopuścić nie mamy żadnej ludzkiej możliwości. Dokonywa się ona w biały dzień na żywym ciele narodu, a my nie możemy jej przeszkodzić. Tragedya tkwi w tem, że te „poglądy“, „oryentacye“ i t. p., to tylko wywieszki, hasła, słowa, ukrywające prawdę po stokroć straszliwą. Większość narodu tknięta jest bezwładem, trawiona przez chorobę woli, zadawalającą się załatwianiem drobnych spraw, ważnych na jedną godzinę, obojętnych, małych wobec olbrzymiego czasu. Wszelkie „hasło“ i wszelki „argument“, służący temu „stanowisku“, to ciągle nowy dowód tragicznego stanu niemocy psyche narodowej. Kto dzisiaj nie działa, nie czyni, nie tworzy w imię niepodległości — ten niechaj nie wyklamuje się szalbierczym „argumentem“, że nie czyni dla takiego lub innego motywu. Nie czyni, bo na jakikolwiek czyn go nie stać. Stać go tylko na kłamliwe, z głębi sumienia patrząc nieuczciwe jęki, żale,

wypominania, załamywania rąk — — gdy oto Rplita in periculo! I wszelka groza, jaka nad nami wisi, jeśli spełni się, to nie z winy czyjejs tam, z zewnątrz idącej, jakiejś tam cudzej przemocy, czyjegoś tam barbarzyństwa — nie! po tysiąckroć nie! Cokolwiekby się stało złego wobec Polski, wszystko to stałoby się z naszej winy, z naszej niemrawości, z naszego lenistwa, oraz indolencyi, która niema dość uczciwości, aby samej sobie to powiedzieć. Zerwijmy z fałszem, zedrzejmy maski z frazesów, słów, haseł, argumentów — zajrzyjmy twarzą w twarz własnej tajemnicy — a może jeszcze, może jeszcze, póki ostatnie minuty wielkiej godziny nie przebrzmiały, otrząśniemy się z letargu.

Albowiem letarg to jest, dur, poczwarny sen, w który ukołysał nas chochoł naszych grzechów. Jeszcze jest czas, jeszcze nie nastąpiły ostateczne rozstrzygnięcia, jeszcze brama wolności przed nami na ścieżaj otwarta! Jeszcze...!

Dąbrowa we wrześniu 1915 r.

GOLGOTA LEGIONÓW

Gdy Strzelcy pod wodzą Piłsudskiego weszli dnia 6-go sierpnia 1914 r. do Królestwa, wchodzili z przekonaniem, z wiarą, iż społeczeństwo Królestwa podniesie się groźną falą przeciwko Rosyi. Sądzono, że pod znak wojny z Rosyą zbiegnie się naród, a wojsko znajdzie poparcie co najmniej takie, jakie znalazło w Galicyi. Nadzieje te w znacznej mierze zawiodły.

Nie będziemy tutaj tego faktu poddawać analizie, nie będziemy omawiać sprawy tyle bolesnej. Niewątpliwie istnieje wiele motywów natury obiektywnej, które na to wpłynęły, istnieje wiele tragicznych przyczyn, natury wewnętrznej, że naród żywiłowo pod karabinem nie stanął. Dość, że większość społeczeństwa zachowała się wobec nas conajmniej apatycznie, tam zaś, gdzie zdobywaliśmy sympatyę, kończyło się najczęściej na sentymentalnej łezce lub oklaskach, zaś tylko mniejsza część narodu odczuła sercem prawość, znaczenie i heroizm polskiego żołnierza.

Rozpoczął się okrutny rok, najeżony niebezpieczeństwami z zewnątrz, a między bitwą jedną a drugą poświęcony myślom, rozpamiętywaniu i męce. Ale nie jest zwyczajem żoł-

nierza ronić łyzy. I ci, których losy zagnały w lasy karpackie, gdzie krwawo pracowali przez rok cały dla Polski, i ci, co szli pod dowództwem Piłsudskiego, ścieląc trupami i pokrywając mogiłami ziemię polską od Szczucina i Łowczówka aż po Lublin, pogodzili się z faktem, dla tchórzliwych żywiąc w swych sercach męskich wzgardę, dla słabych współczucie, dla kłamliwych i szalbierczych polityków nienawiść, dla ludu ciemnego zachowując wiarę i ufność, iż on kiedyś ciężką pracę polskiego żołnierza zrozumie, uzna, trudy jego będzie cenił, pobojuwiska zamieni w świątynie, a z całości dzieła Legionów wyjmie naukę i włoży ją w serca narodu, niby talizman chroniący przed śmiercią. I krwawo a wytrwale, ciągle stojąc przy sztandarze, bez wypoczynku walcząc, borykając się z wrogiem śmiertelnym i zwyciężając, nie ustawiali w wołaniu przez rok cały: „Którzyście zdrowi, młodzi, którzy macie zaufanie w czyn nasz, w uczciwość i rozum naszej drogi — chodźcie do nas. Przyzywają was wzniosłe duchy Milki, Sztrengera, Paderewskiego, Wąsowicza i w dziki sposób zamordowanego w Tarnowie Kaszubskiego, wołają na was tysiące bohaterów, szarych żołnierzy, o nazwiskach znanych jeno tysiącom matek i ojców, wzywa was nareszcie wódz nasz drogi i przez naród powołany — Józef Piłsudski“.

Tak wzywali głosem strzałów, podchodów wspaniałych, śmiałych szturmów, szarżą Wąsowicza, chłodną wolą Herwina, tak czarowali

i uwodzili serca i myśli poezją czynu, ci najrodzeńsi potomkowie Wyspiańskiego. I głos ich był coraz silniejszy, coraz bardziej wzniosły, coraz potężniejszy. Coraz trudniej było oprzeć się sile ich czynów, mocy ich logiki, zaciekłości i charakterowi tych zaiste niezłomnych. Jakiś czar wielkości płynął z okopów strzeleckich i z mogił polskich żołnierzy. Skrzeczający głos obmowy i oszczerstwa jął cichnąć. Kłamstwo i potwarz nie śmiały już ukazać swej ohydnie wykrzywionej twarzy.

Rycerze żywi jęli już za życia wchodzić w legendę. Piłsudski rósł z miesiąca na miesiąc. Niby magnes narodowy przyciągał, niby sumienie biczące gryzł, niby słońce ojczyzny ogrzewał, budził ufność, ratował w rozpaczach. Golgota jęła już przyoblekać cechy męki, grozą przejmującej tych, którzy ją zadawali. Naród z miesiąca na miesiąc otrząsał się, a przynajmniej, co lepsze, co światlejsze, szlachetniejsze i rozumniejsze, jęło coraz wyraźniej chylić się ku nam.

Sprawa przeobrażania się, odradzania wielkiego ongiś, wielce rycerskiego i pośród ludów świata kiedyś szanowanego narodu, odbywała się na oczach naszych, że nikt z nas złorzeczyć się nie ośmielał, jeno niejednemu łyzy gorzkie nie przestawały płynąć nad straszliwą niemocą ludu, tak straszliwą, iż go dopiero śmierć dobrowolna tysięcy najmłodszych, najśliczniejszych, największych może zwolna do przytomności przyprowadzać.

Niestety — do czynu żywiołowego było jeszcze daleko.

Golgota rycerstwa polskiego złagodniała w mistyce formy, ale wciąż cierniem wbijała się w ciało rycerza, bez przerwy wołającego: — „Mało mi sławy wieńce, rzucane przez was na mą zakrwawioną głowę, za nic mam wasze uśmiechy, waszą czułość, waszą dbałość o mą matkę samotną, o moją żonę opuszczoną, o me dzieci niedojadające — ja chcę, byście chwycili za karabin, jak ja! Wstawajcie!“

Rycerzu, legionisto polski — Tobie cześć!

Dąbrowa Górnicza, w Królestwie Polskiem.
Listopad 1915 r.



P.S.P.

946

B 16.5815

~~8061~~
1908

~~8981~~
1868

9768

UP - Kraków BG



1050174759